



50 (786) Rok XV

10. 12. 72

GŁOSY
ZSRR

Przed 50 laty — 30 grudnia 1922 roku — proklamowano powstanie ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RAD. Początkowo w skład Związku weszły: ROSYJSKA FEDERACJA NA SRR, UKRAIŃSKA SRR, BIALORUSKA SRR oraz FEDERACJA ZAKAUKASKA, na którą składały się: Armenia, Azerbejdżan i Gruzja.

W 1925 roku do ZSRR weszły: UZBECKA SRR i TURKMEŃSKA SRR, a w 1929 roku — TADŻYCKA SRR.

Tak powstało pierwsze na świecie wielkie państwo socjalistyczne — ostoja wszystkich sił postępowych na świecie, państwo, które od początków swego istnienia prowadzi konsekwentną politykę utrwalania pokoju na świecie. Dziś Związek Radziecki stoi na czele obozu socjalistycznego, a narody ZSRR, wytrwale budując komunizm, swoimi osiągnięciami gwarantują bezpieczeństwo i poparcie wszystkim postępowym siłom świata.

Bieżący numer naszego pisma niemal w całości poświęcamy problematyce Kraju Rad. Od dłuższego czasu publikujemy materiały radzieckie, aby choć w części pokazać Czytelnikom różnorodną problematykę społeczeństw Związku Radzieckiego.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

KONSTANTY ROKOSSOWSKI

Wieczorem 5 października otrzymałem telefonogram ze sztabu Zachodniego Frontu. Telegram brzmiał: natychmiast przekazać odcinek z wojskiem gen. F. A. Jerszakowowi, a samemu wraz ze sztabem 16 Armii stawić się 6 października do Wiaźmy i zorganizować przeciwuderzenie w kierunku Luchnowa. Informowano, że w rejonie Wiaźmy otrzymamy 5 dywizji piechoty wraz z wyposażeniem bojowym.

Wszystko to było zupełnie niezrozumiałe. Na północ od nas, szczególnie od gen. Łukina, sytuacja stała się poważną, a jak było na lewej flance frontu i na południu, nie było wiadomo... Telegram wywołał podejrzenie. Pamiętam okrzyk naczelnika sztabu: W takiej chwili zostawić wojsko! To nie mieści się w głowie!

Zażądałem powtórzenia rozkazu na piśmie z osobistym podpisem dowodzącego frontem.

W nocy pilot dostarczył rozkaz z podpisanymi I. S. Koniewa oraz członka Rady Wojennej N. A. Bułganina.

NIEZWYKŁY ROZKAZ

Wzrost odpady, lecz nie się nie wyjaśniło. Zjawili się do przejmowania ci z 20 Armii. Pakowaliśmy je trwale krótko. Nasz sztab ruszył do nowego miejsca, przeznaczenia, lecz wszyscy czuliśmy, że zaistniały jakieś groźne wydarzenia, a u nas w tym niespokojnym momencie nie było — ani wojska, ani przekonania, że znajdziemy wojsko tam, dokąd nas posyłają. Próba połączenia się przez radio ze sztabem frontu nie dała wyniku.

Zmusiło nas do ostrożności zdarzenie, jakiego byliśmy świadkami w pobliżu Dniepru, na wschód od Jarcewa. Porzucone pozycje. W okopach — nikogo. Wiedzieliśmy, że na tyłach za naszą armią znajduje się wzdłuż Dniepru jedna z dywizji Frontu Rezerwowego. O tym, gdzie się znajduje ta armia i co tu zaszło nie mieliśmy pojęcia.

W drodze do Wiaźmy zaczęliśmy spotykać samochody różnych jednostek pozafrontowych z 30 i 22 Armii. Czerwonoarmiejski chórkiem twierdzili, że niemieccy spadochroniarze rozbili ich pododdziały, a im udało się przebić i teraz właśnie szukają swoich. Opowiadania ludzi oraz dane zwiadowców trochę wyjaśniły sytuację. Widocznie nieprzyjacielskim wojskom pancerno-zmechanizowanym udało się przedrzeć w pasie 15 i 30 Armii i dość głęboko przeniknąć na wschód. Uchodźcy wymieniali: Syczewkę, Pigulino, Chelm Zyrkowski i inne osady, twierząc, że tam znajdują się ogromne siły niemieckie: dużo czołgów itp. Wszystkie te punkty znajdowały się na północ od magistrali Jarcewo—Wiaźma.

Połączyć się ze sztabem frontu ciągle nie mogliśmy. Przygniatała nas świadomość, że oderwaliśmy się od swoich. Wraz z Malininem zatrzymaliśmy się obok stogu siana, oczekując na wiadomości od zwiadowców. Łobaczew wzięwszy paru oficerów pojechał naprzód. Minęła nie więcej niż godzina, kiedy wrócił i osunął się, obok nas, na siano.

Dalszy ciąg na str. 4

Jeszcze w samolocie, kiedy tuż za cieśniną Tatarską zamigotało mglistofioletowe pasmo przybrzeżne, zauważyłem, jak pasażerowie poruszyli się nerwowo i przyłgnęli do iluminatorów. Moim sąsiadem był starszy wiekiem rybak z miasteczka Aniwa. Dowiedziawszy się, że na wyspę lecę pierwszy raz, ustąpił mi miejsca przy oknie, po czym z radością zaczął wykrzykiwać wprost do ucha nazwy bielejących osiedli, zatok i wzgórz, nad którymi właśnie przelatywałem. A kiedy zapytałem, dlaczego również nie pożałdliwie, jak my — nowicjusze, spoglądają w dół miejscowi, rybak ożywił się jeszcze bardziej.

WALERIJ GRIBOW

SACHALIN

— Jak to? Przecież to Sachalin! Wyjedźcie pan na miesiąc i już zawiadnie panem tęsknota, Sachalin zniewała bez reszty. Wystarczy tu pożyć rok, dwa. Nawet nie pomyśli się o wyjeździe. I to wcale nie pieniądze, nie dodatki trzymają ludzi, lecz sama ziemia, jej piękno. Tu wszystko jest ciekawe! Wszystko! Nie powiem, ciężko tu się żyje, lecz również ciekawie. Oczywiście, ten czy ów nie wytrzyma, ucieka. Sachalin — jest jak sito: drobniak wszelaki przepuszcza. Za to zostawia najcenniejsze wartości...

Rybak wnet aż poczerwieniał z ożywienia. Na jego słowa rozległ się z tyłu i przodu głosy pozostałych pasażerów. Ledwie nadążałem z obracaniem głowy w ich stronę, gdy padaly uwagi o wyspie, która była już całkiem blisko i swoim zielonym masywem rosła pod skrzydłem samolotu.

— Dolatujemy do Południowo-Sachalińska! — ogłosiła młodzianka stewardessa i niezbyt srogo uprzedziwszy o obowiązku zapięcia pasów — oddaliła się do kabiny pilotów.

Tak serio na obejrzenie miasta zdobyłem się dopiero na-

stepnego dnia. Raz po raz wspominałem podróży z samolotu. Zbyt wielu trafiło się ludzi — podobnie jak tamci — rózkochanych w swojej wyspie. I były mi zrozumiałe ich uczucia. Zawsze bowiem droższe jest to, co się zdobyło ciężką pracą, cierpieniem duszy; mówiąc inaczej — najdroższe jest to, co zdobywa się w walce. A Sachalin prawie cały, zwłaszcza jego południowa część (wszystkie miasta, wsie i osiedla, szyby naftowe, kopalnie, przystanie morskie, drogi i samo centrum okręgu) został zbudowany właściwie na gołej przestrzeni i to w ciągu dwu zaledwie dziesięcioleci. Jakże więc oni muszą kochać tę ziemię, skoro oddają jej tyle ciepła, młodzieńczego zapału, talentu i siły!

W Południowo-Sachalińsku, gdzie się nie zajrzy, wszędzie widzi się to zniewalające zakochanie w swoim kra-

Dalszy ciąg na str. 6

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

POSTAWY LUDZI RADZIECKICH

ZSRR kończył II Wojnę Światową jako zwycięzca. Wówczas nikt nie kwestionował faktu, że faszystowska machina wojenna została zdruzgotana właśnie na wschodzie, że do chwili bezwarunkowej kapitulacji, pomimo istnienia frontów we Francji i Włoszech 2/3 sił hitlerowskich nadal było zaangażowanych w walkę z Armią Czerwoną.

Radość pokoju i poczucie wypełnienia misji wyzwoleniwej wobec narodów środkowej i wschodniej Europy trzeba było opłacić śmiercią przeszło 20 milionów obywateli ZSRR, nie licząc olbrzymich strat materialnych. Nie wystarczyło więc czasu na zasużony wypoczynek. Trzeba było „wygrać pokój”.

Tak jak i w ponurych la-

tach wojny, zahartowana w trudach Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia Bolszewików stała się organizatorem odbudowy kraju. Pomimo utraty przeszło 3 milionów swych członków, liczebność partii znacznie wzrosła. Charakterystyczny był napływ w

Dalszy ciąg na str. 6





Tematyka rozbrojeniowa od wielu lat przewija się przez obrady Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jednakże nie często dyskusje kończą się konkretnymi decyzjami. Tym bardziej więc trzeba odnotować fakt, że ZGROMADZENIE OGÓLNE PRZYJĘŁO W UB. TYGODNIU REZOLUCJĘ O NIESTOSOWANIU SIŁY W STOSUNKACH MIĘDZYKRAJOWYCH I ZAKAZIE NA ZAWSZE UŻYCIA BRONI JĄDROWEJ. Zgromadzenie zaleciło Radzie Bezpieczeństwa szybkie podjęcie kroków, wprowadzających jego rezolucję w życie.

Uchwała Zgromadzenia przyjęta została ogromną większością głosów — tylko cztery spośród ponad 130 państw głosowały przeciw: Chiny, Albania, Portugalia i Republika Południowej Afryki. Oznacza to, że zdecydowana większość państw zainteresowana jest stworzeniem takich mechanizmów, które by eliminowały siłę i wykluczały możliwość zastosowania w konflikcie broni jądrowej.

Zgromadzenie PRZYJĘŁO TAKŻE REZOLUCJĘ O ZWOŁANIU ŚWIATOWEJ KONFERENCJI ROZBROJENIOWEJ ORAZ REZOLUCJĘ W SPRAWIE WSTRZYMANIA PROB NUKLEARNYCH NA PACYFIKU.

Na kilkanaście dni przed zakończeniem zasadniczej części obrad Zgromadzenia Ogólnego zapadły zatem ważne dla pokoju świata decyzje. Inicjatorem dyskusji o problemach bezpieczeństwa były przede wszystkim kraje socjalistyczne. One też odnotowują przyjęcie tych rezolucji jako swój kolejny sukces.

Sceptycy mogą przypomnieć, że ONZ nie jeden już raz podejmowała uchwały ważne dla światowego pokoju, które następnie były ignorowane i nie doczekały się dotąd wprowadzenia ich w życie. Czy zatem i te, o których mówiliśmy powyżej, nie spotka podobny los? Jest wiele podstaw, aby sądzić, że nie. Przede wszystkim dlatego, że era konfrontacji przeżywa swój zmierzch, a większość państw — wielkich i małych — chce żyć w warunkach wyeliminowania zagrożenia użycia wobec nich siły. To wydaje się być najlepszym gwarantem realizacji decyzji Zgromadzenia.

O praktycznym poszukiwaniu dróg zapewnienia bezpieczeństwa i współpracy świadczą również przebieg wielostronnych rozmów w Helsinkach, których celem jest przygotowanie europejskiej konferencji. W toku dyskusji następuje prezentacja stanowisk poszczególnych krajów. Oczywiście ufałnią się w niej różnice zdań co do porządku przyszłej konferencji. (Rzecz znamienna — nie zawsze przebiegają one według linii dzielącej systemy). Ale co do jednego wszyscy są zgodni: potrzeby zwolania europejskiej konferencji bez większej zwłoki.

Zdaniem przedstawicieli krajów socjalistycznych powinna ona odbyć się już w pierwszej połowie przyszłego roku, a konkretnie w czerwcu. Porządek dzienny nie powinien być przeciążony, sprawy, które nie dojrzały do rozstrzygnięcia — nie mogą być jeszcze wniesione pod obrady. Dlatego, zdaniem przedstawicieli krajów socjalistycznych, dyskusja powinna dotyczyć przede wszystkim: umocnienia bezpieczeństwa i utrwalenia zasad współżycia między europejskimi krajami oraz rozszerzenia współpracy na różnych płaszczyznach. Celowe byłoby powołanie stałego organu do spraw bezpieczeństwa i współpracy. Nasze kraje sugerują ponadto, aby miejscem konferencji były Helsinki, a w jej decydującym stadium wzięli udział szefowie rządów albo nawet państw.

Dyskusja jeszcze się toczy — zapisali się do niej przedstawiciele 34 krajów — i do tematu z pewnością powrócimy.

Tymczasem z europejskiej tematyki przenieśmy się do indochińskiej. Walki w Wietnamie toczą się nadal, a Nixon zdecydował, aby przerwać wycofywanie jednostek amerykańskich, które ostatnio przetrucane były do innych krajów Azji Południowo-Wschodniej. Równocześnie w Waszyngtonie przebywał specjalny wysłannik reżimu sajgońskiego. Dwukrotnie rozmawiał on z prezydentem Nixonem, choć, jak stwierdzili to komentatorzy amerykańscy, planowano tylko jedno spotkanie. Z faktu tego wyprowadza się wniosek, że Thieu ciągle jeszcze chce ratować swą twarz i utrudnia podpisanie porozumienia o zasadach przywrócenia pokoju w Wietnamie. Komentatorzy sądzą, że marionetkowy prezydent południowego Wietnamu usilnie zabiega o spotkanie z Nixonem. Przypuszcza się, że mógłby to być ostatni publiczny występ Thieu.

W poniedziałek wznowiono w Paryżu rokowania i, być może, komentarz ten zbiegnie się z wiadomościami na temat długo oczekiwane go aktu podpisania porozumienia.

Kalendarium ostatnich dni zapisało również:

— wizyte delegacji partyjno-rządowej ZSRR — pod przewodnictwem Leonida Breżniewa — na Węgrzech, w toku której przedyskutowano całokształt stosunków między obu państwami oraz sytuację międzynarodową;

— rozmowy premierów rządów Polski i NRD w Poznaniu, które poświęcone były ocenie stanu i perspektywom współpracy między obu krajami;

— podróz prezydenta Chile — Salvadora Allende do Meksyku. Na tę ostatnią zwracamy uwagę przede wszystkim dlatego, że daje świadectwo stabilizacji sytuacji wewnętrznej w Chile, która jeszcze przed kilku tygodniami, o czym pisaliśmy na tym miejscu, wobec ataku prawicy na rząd była poważnie zagrożona.

W. SŁAWSKI

Pokolenie wielkiej szansy

Na łamach naszego pisma od kilku tygodni zamieszczamy reportaże i artykuły publicystyczne w cyklu nazwanym SZANSA MŁODYCH. Nie jest to doraźna akcja, gdyż sprawy młodego pokolenia to problemy o najwyższej wadze społecznej, które powinny być zawsze w centrum uwagi naszego społeczeństwa. Wystarczy bowiem przypomnieć, że według najnowszych wyliczeń GUS ponad 17 milionów obywateli naszego kraju nie przekroczyło 29 lat (52 proc. ludności), a 16 milionów — czyli prawie połowa — to pokolenie urodzone w Polsce Ludowej.

Stąd więc zrozumieliśmy skupienie powszechnej uwagi wokół doniosłych obrad VII Plenum KC PZPR. Jak wiadomo, decyzje omówienia przez plenum KC problemów młodzieży podjęto jeszcze przed VI Zjazdem. Ustalono przy tym zasadę wszechstronnego i wnikliwego przygotowania materiału, co wymagało nie tylko ogromu pracy, ale i czasu. Powołano kilkanaście zespołów roboczych, zasięgnięto opinii szerokiej reprezentacji samej młodzieży, ekspertów i działaczy. Kilkakrotnie na posiedzeniach Biura Politycznego omawiano kierunkowe założenia plenum, a ostatnio przeprowadzono konsultacje środowiskowe. W sumie, w przygotowaniu materiałów na plenum uczestniczyło blisko 20 tys. osób. Świadczy to wymownie o randze nadanej temu zagadnieniu.

Przygotowując dokumenty na plenum przyjęto założenie, że rzeczą podstawową w podejściu partii do spraw młodzieży jest program dalszego socjalistycznego budownictwa w Polsce. Na tym programie, wynikającym z uchwał VI Zjazdu, wskazującym również dalszą perspektywę, skupia się

główna uwaga i zainteresowanie całego społeczeństwa. Ten program, który partia stawia przed całym narodem, jest również historycznym zadaniem całego młodego pokolenia Polaków. I tylko w tym kontekście można go jedynie rozpatrywać i realizować.

Dyskusje, tezy, wnioski i uchwała plenum, jako podsumowanie pracy ostatnich miesięcy, stanowiąc będą obecnie podstawę do opracowania w niedługim czasie niezbędnych aktów wykonawczych i konkretnych przedsięwzięć, stanowić będą kierunki działania dla instytucji państwowych i organizacji społecznych.

VII Plenum nie podjęło zagadnień związanych z organizacyjnym kształtem ruchu młodzieżowego, wychodząc z założenia, że jest to przede wszystkim sprawa samych organizacji młodzieżowych. Najważniejszy bowiem jest program ideowo-wychowawczy treści pracy wśród młodzieży i praca samej młodzieży. Posunięcia organizacyjne natomiast powinny zapewnić dalszą konsolidację ruchu młodzieżowego wokół tego programu.

Ma to szczególne znaczenie obecnie, kiedy przystąpiliśmy do budowy „drugiej Polski”, co oznacza wielokrotne i unowocześnienie narodowego potencjału, pomnożenie dochodu narodowego jako podstawy poprawy warunków życia oraz wydatny postęp w kształtowaniu socjalistycznej świadomości i socjalistycznych stosunków międzyludzkich. Założenie takie stanowi strategiczną oś w rozpatrywaniu całego kompleksu problemów, związanych z przygotowaniem i włączeniem młodzieży do tego wielkiego zadania.

W dyskusji na posiedzeniach plenarnych i w czasie obrad w

czterech zespołach zastanawiano się jakie warunki powinniśmy wspólnie tworzyć dla pełnego wykorzystania nowatorskich twórczych cech młodzieży, w interesie zarówno wszystkich generacji naszego społeczeństwa, jak i młodego pokolenia. Na czoło zagadnień wysunęła się szeroko pojęta problematyka ideowa, rozumiana jako pogłębienie socjalistycznych treści pracy wychowawczej i jej skuteczności. Akcentowano szczególnie jedność praw i obowiązków młodego pokolenia, sprawy wychowania do pracy i poprzez pracę, zagadnienia nauki, działalności zawodowej i aktywności społecznej.

„Polska naszych pragnień i naszych ambicji nie zrodzi się sama — powiedział na plenum Edward Gierek. — Od nas wszystkich zależy czy i kiedy osiągniemy to, co zostało zarysowane w programie rozwoju kraju. Od nas zależy czy osiągniemy więcej czy też mniej. Wychowujemy więc młodzież tak, aby wiedziała, że życie pozbawione ideałów jest puste i bez celu. Pokazujemy jej ten cel, uczymy walczyć o szczęście swoje i innych, uczymy cenić życie twórcze i godne. Pomóżmy jej w poznaniu przodującej idei socjalistycznej, jaką jest komunizm. Wpajamy w serca i umysły młodego pokolenia socjalistyczny patriotyzm i proletariacki internationalizm.

Wokół tej wielkiej sprawy skupimy wysiłki wszystkich organizacji partyjnych, wszystkich członków partii. Jest to główny front walki o jakość narodu, o przyszłość kraju, o dalszy socjalistyczny rozwój ojczyzny”.

(J. W.)

▲ BARBURKA W ŁĘCZYCY. Tradycyjne święto górnicze od kilkunastu lat odbywa się też w Łęczycy, gdzie w Łęczyckich Zakładach Górniczych wydobywa się ruda. Łęczyckim górnikom życzymy wszystkiego najlepszego w ich pracy zawodowej i życiu osobistym.

▲ PRZEMYSŁOWA DĄBROWA. O nowych — a przecież budowanych już od lat — łódzkiej dzielnicach mieszkaniowych zwykliśmy mówić jako o osiedlach. Dość często nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, że to już miasta, wielkością przewyższające czasem niektóre miasta powiatowe. Wyrosły one na pustych niegdys polach, dorobiły się swoich centrów handlowych — domy handlowe ma już Teofilów i Dąbrowa — domagają się teraz kin, kawiarni, bibliotek, nowych żłobków i przedszkoli. I chyba tak właśnie trzeba myśleć o tych nowych już nie osiedlach, a dzielnicach mieszkaniowych Łodzi. A będzie ich powstawać coraz więcej, gdyż budownictwo w przyszłym roku wejdzie w nowy etap realizacji bieżącej pięcioletki.

Łącznie z nowymi dzielnicami mieszkaniowymi rosną nowe dzielnice przemysłowe. Mamy przemysłowy Teofilów i rośnie nam przemysłowa Dąbrowa. Tutaj powstają przede wszystkim zakłady przemysłu lekkiego: teksturownia, fabryka dywanów, a następnie fabryka filcu, zakłady galanterijne, a także na Dąbrowie ma powstać nowy „Eiester”.

▲ KOMUNIKACJA W WIELKIM MIEŚCIE. Jeśli funkcjonuje należycie, stanowi przedmiot dumy mieszkańców miasta, jeśli natomiast funkcjonuje źle — jest przedmiotem narzekań i pretensji. I tak właśnie jest w Łodzi, gdzie z różnych powodów — wąski rozstaw szyn, ciasne ulice, na wielu ulicach brak wydzielonych z torowisk pasm ruchu samochodowego, przestarzały tabor tramwajowy — komunikacja miejska i to zarówno tramwajowa, jak i autobusowa, nie należy do najlepszych. Aby zmienić ten stan rzeczy potrzeba wielu przedsięwzięć. Część z nich — a przede wszystkim przebiecie najeźdźczych tras komunikacyjnych — spełni się jeszcze w tej pięcioletce, w ramach realizacji programu rozwoju i modernizacji Łodzi. Na inne — choćby na metro — trzeba będzie jeszcze poczekać.

Czy jednak nie można pewnych zmian wprowadzić już teraz? Czy poprawa komunikacji nie zależy również od zmian organizacyjnych?

Odpowiedź na to pytanie dała Rada Narodowa m. Łodzi, podejmując uchwałę, która zobowiązała Prezydium RN m. Łodzi do opracowania takiego harmonogramu rozpoczęcia pracy przez zakłady produkcyjne, instytucje oraz wyższe uczelnie i szkoły, aby w ten sposób można było rozładować tzw. szczyty komunikacyjne.

Sposób prosty i znany na całym świecie i zapewne stosowany w wielu dużych miastach. U nas postulowany od lat stale napotykał sprzeciw, stale był torpedowany przez instytu-

cje i zakłady pracy, którym wygodniej było nie zmieniać, nie martwić się przy tym o ludzi i warunki, w jakich przyjeżdżają do pracy i wracają do domu. Uchwała RN m. Łodzi należy powitać z radością, tym bardziej, że w stosunku do wszelkich opornych stosowane będą kary w wysokości do 1.500 zł. Rozumiem, że karać się będzie ludzi odpowiedzialnych za niestosowanie się do zarządzeń Prezydium RN m. Łodzi i płacić oni będą z własnej pensji, a nie z kasy przedsiębiorstwa, bo w przeciwnym wypadku będzie to tylko „zabawa w karanie”. A nam chodzi o komunikację, a nie o nowe przepisy i uchwały.

MPK dość często tłumaczy się, broniąc się przed zarzutami ze strony pasażerów, którym szczególnie do-



kuje nieregularność komunikacji miejskiej, że powodem tych zakłóceń jest m. in. brak ludzi. Z pomocą MPK przyszedł... student. Władze Politechniki Łódzkiej i RO Zrzeszenia Studentów Polskich w Łodzi podpisały umowę z MPK, na mocy której szkoli się już grupa studentów. Będą oni po ukończeniu kursu prowadzić tramwaje jako motorzysty. Oczywiście, w dni tak zabawia, żeby mogli zapomnieć o tościach, bo coś ostatnio zbyt rozochociliśmy się przy wznoszeniu toastów. Dowodem na to meldunki poandrzejkowe, kiedy to Irba Wyrzeźwił był pełna i pełne ręce roboty miała milicja i Pogotowie Ratunkowe.

▲ FERIE ZIMOWE już niedaleko. W tym roku pogoza Łodzią będzie odpoczywać przeszło 6 tys. dzieciąt i chłopców. Ale warto też pamiętać o tych, którzy pozostaną w mieście. Mają dla nich być otwarte baseny, lodowiska i sale gimnastyczne. Oby tylko nie skończyło się na zamiarach!

▲ ŁÓDZKI DOM KULTURY W NOWEJ SZACIE. Wycytałam niedawno

w „Głosie Robotniczym”, że Łódzki Dom Kultury, który coraz skuteczniej obudowywany nowymi domami nadal straszy okropną elewacją, będzie wyremontowany. W trakcie tymczasowej wyremontowanej elewacji, rozpoczęcie się w 1974 roku.

Osobliście nie wierzę. Przed laty sam pisałem w tymże „Głosie Robotniczym” o gotowych już planach modernizacji ŁDK. Czego tam miało nie być i co? I nie. Przez ten czas zmieniłem kilka redakcji, straciłem przyjaciół, dzieci mi podrosły, nabyłem wiele doświadczeń życiowych, choć przez to nie stałem się ani trochę mądrzejszy, a ŁDK jak stał w niezmiennym postaci tak i nadal stoi. Już dawno ktoś zauważył, że najtrwalsze są provizorki. ŁDK też jest takim niedokończonym tworem, provizorycznie podretuszowanym, aby mógł przetrwać do czasu, kiedy zrobi się z nim porządek. I tym potwierdzono tylko stare powiedzenie.

▲ LAUREATKA trzeciej nagrody VI Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Wieniawskiego w Poznaniu, łódzianka — BARBARA GÓRZYŃSKA — jak donosi „Głos Robotniczy” nie wystąpią gędko w Łodzi, gdyż jest rozchwytywana przez inne miasta Polski.

▲ Z MYŚLĄ O LECIE Rada Narodowa m. Łodzi oceniła ubiegły sezon wypoczynkowy w mieście. Stwierdzono, że nie wszystko było w należytym porządku. Stwierdzono również, że do sezonu niewłaściwie były przygotowane ośrodki wypoczynkowe województwa łódzkiego, z których też korzystają łódzianie.

Na marginesie tych uwag „Express Ilustrowany” przypomina, że zbliża się zima i w zimowe niedziele łódzianie będą chcieli wypocząć w SMAR-DZEWIE. MPK może uruchomić do tej popularnej w Łodzi miejscowości „białą linię”, ale potrzeba do tego drobności — przebudowania teleskiej drogi dojazdowej, a później odsieniania jej. Kto to zrobi?

▲ ŚWIĘTA PRZY TELEWIZORZE. Codzienna prasa donosiła już, jakie to czekają nas atrakcje w świątecznym programie TV. Amatorom świąt przy telewizorze życzymy, aby był to program ciekawy i atrakcyjny, aby ich tak zabawił, żeby mogli zapomnieć o tościach, bo coś ostatnio zbyt rozochociliśmy się przy wznoszeniu toastów. Dowodem na to meldunki poandrzejkowe, kiedy to Irba Wyrzeźwił była pełna i pełne ręce roboty miała milicja i Pogotowie Ratunkowe.

▲ FERIE ZIMOWE już niedaleko. W tym roku pogoza Łodzią będzie odpoczywać przeszło 6 tys. dzieciąt i chłopców. Ale warto też pamiętać o tych, którzy pozostaną w mieście. Mają dla nich być otwarte baseny, lodowiska i sale gimnastyczne. Oby tylko nie skończyło się na zamiarach!

M. RODAK



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

PREZENTACJE

— Aresztowano mnie na dworcu kolejowym w Moskwie. Był to rok 1918, ostatnie jego miesiące. Od początku zdawałem sobie sprawę, że jest to nieporozumienie. Zażądałem więc od czekistów, aby skontaktowali się w KC partii z wydziałem, który mną dysponował. Był wieczór i w KC nikogo już nie było z tych, którzy mogliby coś powiedzieć w mojej sprawie. Przewieziono mnie do więzienia „weczki” na Łubiance. Wyjaśnienie mojej sprawy przeciągało się, aż któregoś wieczoru przyszedł na inspekcję przewodniczący Ogólnorosyjskiej Komisji Nadzwyczajnej (Czeka) — Feliks Dzierżyński. Skorzystałem więc z okazji i zameldowałem mu o mojej sytuacji. — Zbadamy — powiedział krótko F. Dzierżyński i kazał zanotować moje nazwisko. Po jakimś czasie wezwano mnie do sędziego śledczego i zakomunikowano, że jestem wolny. Tak zakończyła się jedna z moich przygód, jakie mi się przydarzyły w Rosji w okresie wojny domowej.

— Jak Pan w ogóle znalazł się w Rosji w tym czasie? — pytam STEFANA SZPINGERA, byłego komisarza jednej z brygad 14 kawaleryjskiej dywizji Pierwszej Konnej Armii.

STEFAN SZPINGER

— Właściwie to od najmłodszych lat stałe gdzieś podróżowałem. Urodziłem się w Toruniu w 1893 roku. Nie miałem jeszcze 10 lat, kiedy rodzina przeniosła się do Kłodzka. Już jako młodzieniec mieszkalem kolejno w Krakowie, Poznaniu i Paryżu, gdzie uczyłem się księgarstwa, aby później pracować w znanej firmie księgarskiej Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Łodzi.

W Łodzi zastała mnie pierwsza wojna światowa. Formalnie byłem poddany, niemieckim i dlatego zostałem internowany i wysłany w głąb Rosji. W ten sposób znalazłem się zupełnie nieoczekiwanie w Saratowie, w stolicy Środkowego Powołża.

— Ale to był dopiero początek wojny 1914 roku.

— Tak. I to był początek mojej podróży do Rosji, jeśli to można nazwać podróżą, gdyż wozono nas bez naszej woli i bez świadomości celu tej „podróży”.

Po Saratowie był Kazań, później Wiatka i osiedle Nowo Troickoje, gdzie nas osiedlono. Po jakimś czasie przenieśliśmy się do wsi Papinienki, a wiosną 1915 roku otrzymałem zezwolenie na osiedlenie się w Woroneżu, w centralnej Rosji. Nie pojechałem jednak do Woroneża. Już w drodze przekonano mnie, że skoro pragnę dotrzeć do Moskwy, to powinienem — nie zważając na żadne przepustki i zezwolenia — jechać prostą do Moskwy. Tak też i zrobiłem. W Moskwie, wraz z Benonem Perzyńskim, założyliśmy polską księgarnię.

— W Moskwie zastała też Pana rewolucja.

— W Moskwie. Tu odbył się wcale nielatwy proces mego dojrzewania ideowego. Nawiązałem kontakt z młodymi robotnikami jednej z fabryk Zamoskworeczja. Uczestniczyłem w moskiewskim powstaniu zbrojnym, kiedy to proletariat Moskwy zmusił białych do oddania radom delegatów całej władzy. W Moskwie też wstąpiłem do partii bolszewików.

Zdaję sobie sprawę, że od tych wydarzeń do rajdów słynnej Pierwszej Konnej Armii jeszcze dość daleko, ale i moja droga życiowa od postawy beztrojskiego młodzieńca do działacza rewolucyjnego też nie była łatwa i prosta.

— Jaki był następny etap tej drogi?

— Wstąpiłem do organizacji partyjnej Zamoskworeczja, ale wkrótce ze względu na znajomość języków obcych zostałem przekazany do dyspozycji Komitetu Centralnego partii i skierowany do Saratowa.

— A więc Saratów po raz drugi.

— Tak, ale tym razem znacznie dłużej. Pierwszy raz byłem tu zaledwie kilka dni. Był to postój w drodze na miejsce przymusowego zamieszkania. Obecnie przyjechałem tu jako przedstawiciel władzy radzieckiej.

— Z konkretnym zadaniem?

— Na początek jako pracownik Oddziału Rozpowszechniania Wydawnictw Centralnego Wszechrosyjskiego Komitetu Wykonawczego.

— A następnie?

— Jako pracownik Komisariatu Wyżywienia w Autonomicznej Socjalistycznej Republice Niemców Powołża. Republika ta powstała w rejonie osadnictwa niemieckiego jeszcze w czasach Katarzyny II. Mieszkało tam 600 tys. Niemców, 150 tys. Rosjan i Ukraińców. Były tu też kolonie mennonitów, członków sekty religijnej powstałej w XVI wieku we Fryzji w Niderlandach, a którzy do Rosji przywędrowali w połowie XVIII wieku. Ziemię Środkowego Powołża były żyzne. Osiedli tu kolonistów dobrze gospodarowali. W głodującej wówczas Rosji była to oaza dobrobytu. Pamiętam wrażenie, jakie wywarł na mnie Saratów po głodnej i biednej wówczas Moskwie. Sklepy, bazyliki i restauracje pełne były wszelakiego jadła. Nic więc dziwnego, że kwitła tu spekulacja. Miałem więc trudne zadanie. Musiałem zorganizować odbiór tych towarów i produktów i przekazywanie ich do głodujących



Fot. A. WACH

rejonów Rosji. Zaczęłem od powołania lotnych oddziałów, które patrolowały granice Republiki i uniemożliwiali pokątny wywóz żywności.

— Były to najcięższe lata wojny domowej.

— Odczuwaliśmy to nie tylko poprzez ciągłe nawoływania o żywność dla głodujących rejonów Rosji. Przez Saratów szło zaopatrzenie dla broniącego się Carycyna. Na Moskwę szedł konny korpus gen. Mamontowa. Rozbił go Siemion Budionny, który zorganizował dywizję czerwonej kawalerii. Z niej to powstała, późniejsza, słynna Pierwsza Armia Konna. Słysząc o sukcesach kawalerzystów Budionnego nie przypuszczałem, że i mnie przyjdzie walczyć w szeregach jego żołnierzy.

— To nastąpiło później, a tymczasem...

— ...wezvano mnie do Moskwy, gdzie otrzymałem partyjne zadanie. Ruszyłem właśnie, aby je wykonać i trafiłem do więzienia „czeki” na Łubiance, o czym już pan opowiadał. Dziś to brzmi paradoksalnie, ale wówczas, kiedy młodej republice radzieckiej zagrażali interwenci i dywizje białych, „czeka” musiała działać szybko, likwidując w zarodku wszelkie próby działania przeciw rewolucji.

— Co robił Pan po wyjściu z więzienia?

— Wróciłem do Saratowa, do swoich poprzednich obowiązków.

— Na długo?

— Nie, bo właśnie partia rzuciła hasło wzmocnienia Armii Czerwonej. Nas skierowano do kawaleryjskiej brygady, która miała zasilić Pierwszą Konną Armię Siemiona Budionnego. W brygadzie też zostałem adiutantem komisarza. Nim jednak brygada weszła w bój, zachorowałem na tyfus.

— A Pierwsza Konna Armia w tym czasie...

— ...walczyła na froncie zachodnim z wojskami Józefa Piłsudskiego. Powróciłem w szeregi naszej brygady już pod koniec tych walk. Zostałem wtedy komisarzem brygady.

— Wraz z 14 dywizją kawaleryjską brał Pan udział w likwidacji band słynnego atamana Machno.

— Przedtem jeszcze likwidowaliśmy bandy na Ukrainie. Było tego w tych czasach niezliczone ilości. Potem była walka o Krym z wojskami Wrangla. To właśnie w czasie walk o Krym zetknąłem się ze znajomymi z Ułańskiego Pułku Mazowieckiego — polskiej jednostki kawaleryjskiej, jaka walczyła w szeregach Czerwonej Armii.

— A sama walka z atamanem Machno?

— Machno początkowo współdziałał z oddziałami Armii Czerwonej. W czasie walk o Krym dobrze zaopatrzył się w broń. Miał np. 700 karabinów maszynowych częściowo zamontowanych na taczankach oraz 50 armat. Stał się niebezpieczny dla władzy radzieckiej. Zaczął buntować bogate chłopstwo Ukrainy. Otrzymałmy więc zadanie rozprawienia się z oddziałami atamana Machno. Zadanie to udało się nam wykonać, ale w toku walki, na skutek błędu taktycznego, zginął dowódca 14 dywizji kawalerii — Aleksander Parchomienko.

— Jakie były dalsze Pana losy w szeregach Pierwszej Konnej Armii?

— Armia poszła na odpoczynek, a 11 dywizję skierowano do Turkiestanu, gdzie zajęła się likwidacją kontrrewolucyjnych oddziałów. Ja w tym czasie — nie mając na widoku wojskowej kariery — powróciłem na Powołże.

— Znow do Saratowa?

— Tak, ale tym razem już do Niemieckiego Obwodu, bo w taki przekształciła się dawna Autonomiczna Republika. Zaczęłem pracować w spółdzielczości. Ponownie w zniszczonej wojnami Rosji zapanował głód. Tym razem nie ominał i bogatego Powołża.

— Swoją udział w rewolucji i późniejszej wojnie domowej opisał Pan w książce pt. „Z pierwszą konną”. Czy powstała ona z zapisków czynionych w tamtych latach, czy też jest to odtworzenie wydarzeń już z pamięci?

— Próbowałem notować w czasie postojów wojennych, ale pewnego razu w czasie ataku na nasze miejsce postoju, kiedy musieliśmy serwować się ucieczką przed nieprzyjacielem, zostawiłem notatki. Więcej już nie próbowałem notowania. Książka powstała więc po prostu ze wspomnień o tamtych czasach.

— Z wojny domowej wyniósł Pan nie tylko wspomnienia.

— Chodzi pani zapewne o bojowe odznaczenia. Tak otrzymałem najwyższe wówczas odznaczenie bojowe Order Czerwonego Sztandaru. No i pozyskałem wielu przyjaciół. Niektórych z nich spotykam jeszcze dziś, kiedy odwiedzam Związek Radziecki.

— Wspomnienia spisane w książce „Z pierwszą konną” zamyka Pan w momencie, kiedy otrzymuje Pan zgodę na przejście do pracy w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Co było dalej?

— W handlu zagranicznym pracowałem do 1925 roku. Po wojnie domowej — już w czasie pracy w spółdzielczości — ożeniłem się i urodził się nam syn. Właśnie w 1925 roku pojechałem z misją handlową do Berlina. Zabrałem z sobą żonę i syna, gdyż miałem zamiar odwiedzić rodzinę w Kłodzku. Chciałem też zawadzić o kraj. W tym celu musiałem w Niemczech wymienić paszport. Z Polski mnie już nie wypuszczono. Powróciłem więc do pracy w księgarstwie.

— Druga wojna światowa zastała mnie w Poznaniu.

— Czy utrzymuje Pan kontakt ze swoimi towarzyszami, z czasów pracy w Saratowie i walk w Pierwszej Konnej Armii?

— Tak. Przed dwoma laty zmarł naczelnik 6 dywizji Pierwszej Konnej Armii — Siemion Timoszenko. Bardzo zaprzyjaźniłem się w ostatnim okresie przed jego śmiercią. Mam również innych przyjaciół w Związku Radzieckim. Na ile pozwala mi zdrowie i siły odwiedzam ich, wybierając się z wizytą do Moskwy. Przy różnych okazjach spotykam zresztą ludzi, z którymi zetknąłem się przed kilkudziesięciu laty. Kiedy np. przed rewolucją mieszkałem w Moskwie, w tym samym domu mieszkał książę osetyński Władimir Tuganow. Miał on kilka córek. Wraz z kilkoma Polakami, którzy też mieszkali w tym domu, bywałem gościem księcia Tuganowa. Potem losy nas rozdzieliły. Z okazji 50 rocznicy powstania Armii Czerwonej ukazał się w „Literaturnoj Rosji” fragment moich pamiętników i zdjęcia z tamtego okresu. Jedną z córek księcia Tuganowa rozpoznała mnie i napisała do nas list. Przy okazji pobytu w Moskwie odwiedziłem ją z żoną.

Z okazji tejże samej rocznicy powstania Armii Czerwonej otrzymałem medal wydany na pamiątkę powstania Pierwszej Konnej Armii.

— Pana wspomnienia z czasów rewolucji i wojny domowej, zawarte w książce pt. „Z pierwszą konną” doczekały się dwu wydań. Czy zamierza Pan spisać dalsze swoje losy?

— Tak, przygotowuję dalszy ciąg wspomnień. Nie będą może one tak barwne, jak te z okresu wojny domowej, gdzie o najdziwniejsze przygody nie było wcale trudno, ale przeżyłem sporo — szczególnie w okresie okupacji — i myślę, że warto podzielić się tym z czytelnikami. Będzie to cząstka dokumentów, jakie gromadzą się w naszych bibliotekach. Pamięć jest zadowolona, a przecież sporo widziałem i przeżyłem. Szkoda, aby to zaginęło.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ



STOP! DZIECKO NA DRODZIE

Nie chodzi mi o akcję „STOP! DZIECKO NA DRODZIE”

DZE”, choć przyznając, że walka o bezpieczeństwo dzieci na drogach jest ważna, jak walka o bezpieczeństwo każdego z nas. Dzieci są jednak bardziej bezradne od dorosłego człowieka i stąd nasza sympatia dla tych wszystkich, którzy wołają o bezpieczeństwo dzieci. Jeśli postępuję się zaważaniem „STOP! DZIECKO NA DRODZIE”, to mam na myśli nie tylko tę pozytywną i potrzebną akcję, ale sam fakt dziecka znajdującego się na drodze.

Ostatnio dzienniki i radio nawołują kierowców do zwracania uwagi na dzieci idące po drodze. Są to dzieci zdążające lub wracające ze szko-

ly. Jak wiemy „nadhodzi” do szkół naszych „niż demograficzny”. To znaczy, że w szkołach mamy coraz mniej dzieci. Stąd likwiduje się niektóre szkoły i wydłuża się dzieciom drogę z domu do szkoły. Jest to niezbędne, a gdy powstaną szkoły gminne droga z domu do szkoły jeszcze może się wydłużyć w niektórych rejonach. Myśli się wprowadzić o zorganizowaniu specjalnego transportu, jakim dysponują szkoły zagraniczne, ale to sprawa przyszłości. Są jednak w kraju już i takie szkoły i takie wsie, które sprawę tę rozwiązały we własnym zakresie. To też pozytywna akcja.

Inne dzieci skazane są na

maszerowanie po kilka kilometrów dziennie. Dzieci te część drogi przynajmniej odbywają po ruchliwych państwowych drogach. Drogami tymi jeżdżą państwowe i prywatne samochody. Dzienniki i radio apelują do kierowców, aby zatrzymywali się i podwozili dzieci. Nauczyciele zwracają uwagę dzieciom na bezpieczeństwo na drogach, a jednocześnie i na to, że podniesioną ręką można zatrzymać samochód i poprosić kierowcę o podwiezienie do domu lub szkoły. I dzieci tak robią, ale nie wszyscy kierowcy reagują na ten znak.

Słyszałem niedawno przez radio wypowiedź kierowcy, który nie zatrzymał się na

znak dany przez grupę dzieci. Kierowcę tego zatrzymali dziennikarze radiowi i zapytali, dlaczego tak zrobił. Okazało się, że miał tylko jedno wolne miejsce, a dzieci było kilkoro. Nie chciał znaleźć się w sytuacji, kiedy musiałby dokonać wyboru. Liczył na to, że następny samochód będzie w lepszej sytuacji i zabierze wszystkich.

Różnie bywa na drodze, ale w słońcu, wiatr, mróz i śnieg lepiej zabrać choć jedno dziecko, jeśli nie można zabrać wszystkich. Sam często chodzę po drodze i widzę dzieci podnoszące rękę na widok jadących samochodów. Na całym świecie przyjęte jest, że piesi zatrzymują samochody

pragnąc skorzystać z okazji. Niech więc i taki zwyczaj zapanuje na naszych drogach. Przynajmniej w stosunku do dzieci. I dlatego pozwolę sobie przypomnieć popularne hasło: „STOP! DZIECKO NA DRODZIE” z nadzieją, że teraz zimą przybierze też ono i inny sens. I dlatego odważyłem się napisać ten list do redakcji „Odgłosów” z prośbą o opublikowanie go. Może trafi do rąk kierowców i może będą oni teraz większą jeszcze uwagę zwracali na dzieci na drogach. Gdyby rzeczywiście tak się stało, byłbym ogromnie z tego zadowolony.

KAJETAN KOWALIK (emerytowany nauczyciel)



Dalszy ciąg ze str. 1

— Na skrzyżowaniu spotkałem Wasyla Daniłowicza Sokolowskiego. W Kaśnie już nie ma nikogo. A nasze zadanie nie uległo zmianie.

Zdaniem Łobaczewa, naczelnik sztabu frontu sam do- kładnie nie wiedział co i gdzie się dzieje.

Zwiadowcy ciągle nie mogli wykryć żadnego wojska w re- jonie Wiaźmy. Gdzież więc znajdują się obiecane rozka- zem Koniewa dywizje? Myśląc o tym, jechałem do miejsca postępu naszego nowego KP. Znaleźliśmy je prawie gotowe. Roz- poczęli pracę łącznościowcy. Sztab frontu milczał, widocznie znaj- dując się w ruchu, nie zdążył jeszcze rozwinąć swoich radiosta- cji. Radiowcy także nie mogli połączyć się z żadną z jednostek. Poleciwszy Malininowi odnaleźć wojsko i starać się połączyć z frontem lub z Naczelnym Dowództwem, udałem się wraz z Ło- baczewem do miasta. Dowódca garnizonu gen. J. S. Nikitin za- meldował:

— W Wiaźmie żadnego wojska nie ma. W okolicy także nie ma. Mam jedynie milicję. W mieście niespokojnie, chodzą słu- chy, że z południa i z północnego wschodu, od strony Juchno- wa zbliżają się niemieckie czołgi.

— Gdzie znajduje się miejscowa władza cywilna i partyjna?

— W soborze. Tam jest całe kierownictwo.

Sobór znajdował się na wysokim wzniesieniu i górował nad Wiaźmą niezmiernie średniowieczną warownią. W jego piwnicy zna- leźliśmy rzeczywiście sekretarza Smoleńskiego Okręgowego Ko- mitetu Partii D. M. Popowa, wokół którego zebrał się towarzy- sze z miejskich komitetów Smoleńska i Wiaźmy. Był tu także naczelnik zarządu politycznego Zachodniego Frontu, D. A. Les- tiw. Ucieszony, skinął ręką.

— Wszystkie w porządku, towarzysze. Poznajcie się z dowo- dzącym.

Z przykrością musieliśmy ich rozczarować. Dowódca jest, lecz nie ma kim dowodzić. Zmusiłem gen. Nikitina do złożenia rap- ortu zarządowi politycznemu w sprawie rozlokowania wojska w rejonie Wiaźmy. Lestiew był tym bardzo zdziwiony.

— Jak to? — oświadczył — wróciłem niedawno ze Sztabu Fron- tu, który przenosi się na nowe miejsce i tam mnie zapewnili, że jest tu u was nie mniej niż pięć dywizji, które czekają na przy- bycie sztabu 16 Armii...

Ta rozmowa odbyła się 6 października po południu.

Nie zdażyłem zapytać Nikitina o zwład i obserwację przedpo- la miasta, gdy do piwnicy wkpił przewodniczący Smoleńskiej Ra- dy Narodowej, A. P. Wachtierow:

— W mieście niemieckie czołgi?

— Skąd te wieści?

— Widziałem je z dzwonnicy!

— Aleksieju Andriejewiczu, postarajcie się o przygotowanie sa- mochodów.

My z Lesiewiczem i Popowem szybko wdrapaliśmy się na dzwoni- cę. Rzeczywiście dojrzelśmy te czołgi, które hukły z karabinów maszynowych do samochodów, uciekających z miasta.

Niemieckie czołgi weszły od Wiaźmy. Trzeba się było niezwłocz- nie stąd wycofać. Wiaźmy w tym czasie nie było komu bronić.

Najbardziej pojemna okazała się moja „emka“. ZIS-101 oraz gazik Łobaczewa i Popowa były mniejsze. Zabrawszy towarzy- szy opuściliśmy miasto. Udało się nam pomyślnie wyrwać. W pewnym momencie o mało nie zderzyliśmy się z niemieckim czołgiem, ale zdażyliśmy dać nura w zaułek i wrogowi nie udało się nas ostrzelać.

KP był zlokalizowany w przesiece, 10 km na północny wschód od Wiaźmy. Tu zaczęliśmy podsumowywać wszystkie dane, jakie zebrał sztab. Niemcy zadali cios wypróbowanym sposobem: przerwanie frontu w dwu miejscach, stworzenie wewnętrznego pierścienia okrąże- nia przez połączenie klinów w głębi wyrwy. W tym mo- mencie to było dla nas jasne, rubieżą zaciśnięcia wrogich kleszczy była Wiaźma. Ten system wroga znaleźliśmy, od- czuwaliliśmy i obserwowaliśmy. Nasz zwiad tylko to po- twierdził. Lecz gdzie winien powstać zewnętrzny pier- ścień okrążenia, o co na pewno zatroszczy się wróg — je- szcze nie wiedzieliśmy. I musieliśmy to sobie wyjaśnić.

Wieczorem 6 października przyjechał do nas naczelnik dowodzenia operacyjnego Sztabu Frontu, gen. G. K. Ma- linden, a z nim nasz stary, dobry znajomy, gen. Kamera. Szukali Sztabu Frontu. O sytuacji na froncie towarzysze nie wiedzieli. Opowiedziałem im o tym, o czym zda- żyliśmy się dowiedzieć i poradziłem, aby nocą spróbo- wali dostać się na wschód, bardziej na północ od auto- strady. Tam prawdopodobnie skierował się sztab frontu. Dla bezpieczeństwa Malindina i Kamery odprowadziła ich grupa naszych oficerów. Towarzysze ci szczęśliwie

wykonali swoje zadanie, lecz w drodze powrotnej zosta- li ostrzelani przez Niemców, dwóch zostało rannych, sa- mochód spłonął i zuchy, ledwo na piechotę, przebili się do nas.

Malinin zameldował, że próby odnalezienia jakichkol- wiek dywizji pod Wiaźmą są bezowocne. Należało pomy- śleć, co przedsięwziąć w tak dziwnej sytuacji. Wrócić do swoich wojsk? Wróg zaciskając wewnętrzny pierścień, od- ciął nam tę możliwość, a co najważniejsze, sztab 16 Ar- mii chciano wykorzystać do wykonania jakiegoś tam za- dania. Nasz obowiązek polegał zaś na tym, aby się zjawić i to zadanie otrzymać.

Wieczorem 6 października nasz oddział sztabowy wszedł do lasu na północny wschód od miasta i na północ od autostrady Wiaźma—Możajska. Na poprzednim miejscu ostrzeliwano nas niejednokrotnie niemieckie samoloty.

Całą noc i dzień następny wysłany przez nas zwiad działał w różnych kierunkach. Ustalono: autostrada na północ od Wiaźmy zajęta przez jednostki pancerne prze- ciwnika. Wróg gęsto obsadził ten kierunek; w samej Wiaźmie znajduje się niemiecka piechota zmotoryzowa- na; po drodze do Syczewki nieprzerwanie prą wrogie wojska. Tumanowo jeszcze nie zajęte i tam znaleźli się oddział wojsk NKWD, który z radością dołączył do nas. Potwierdziły się też wiadomości, że w kierunku zachod- nim został utworzony front nieprzyjacielski przechwytu- jący wszystkie drogi.

NIEZWYKŁY ROZKAZ

W lesie tumanowskim, w zagubionej ziemi zebrał się wszy- scy moi współpracownicy. Wszystkie wnioski sprowadzały się do tego, że dłużej obok nie można. Liczyć na to, że nadejdą siły ze wschodu — nie mogliśmy. A to oznacza, że nie ma jak pomóc okrążonym wojskom. Sami znaleźliśmy się w okrążeniu między zewnętrznym a wewnętrznym pierścieniem okrążenia, które Niem- cy starali się jak najszybciej umocnić. Ostateczne rozwiązanie przyjęte przeze mnie — przebieć się na północny wschód. Praw- dopodobnie nieprzyjaciel ma tam najbliższe umocnienia. Tam też jest największa możliwość, aby napotkać wychodzące z okrą- żenia nasze jednostki. Marsz rozpoczynamy nocą 8 października.

W trakcie marszu zbieraliśmy żołnierzy i oficerów z rozbitych jednostek. Ustanowiliśmy następujący porządek: całość podzielono na pododdziały i wyznaczono dowódców. Marsz — trzema ko- lumnami: pierwszą prowadził gen. Kazakow, centralną — ja, a trzecią, w której znajdowały się także samochody — płk Oriol. Samochody pancerne i czołgi BT-7 szły za kolumną centralną, tuż pod ręką dowódcy na wypadek zetknięcia się z wrogiem. Zorganizowano zabezpieczenie w marszu oraz zwiad. Tu wyre- zcała nas kawaleria NKWD, działająca w znacznym od nas od- daleniu. Wszyscy, oprócz kierowców, szli piezo.

Łobaczew zebrał ludzi. Ostatnie objaśnienia: w żadnej situa- cji nie rozbić się na drobne grupki, idziemy i walczymy ra- zem, pamiętając, że jeden za wszystkich — wszyscy za jednego. Rannych w żadnym wypadku nie zostawiać, zabitych — jeśli okoliczności nie pozwolą na zabranie ciał — pogrzebać na miej- scu.

Noc. Ruszyliśmy. Padał duży deszcz, wszystkie drogi rozmokły. Od czasu do czasu postój — dla podciągnięcia pozostających i wyrównania kolumny. Po piętnastu kilometrach zarządziliśmy pierwszy odpoczynek, obok wsi. Dochodząc do niej — zarówno zwiad, jak i główna kolumna — natknęły się na niemieckich motocy- klistów i piechotę w dwu samochodach. Rozgorzała wal- ka. Podtrzymywani dwoma czołgami szybko rozprawił- my się z nieprzyjacielem. Niemcy rozbiegli się, zostawia- jąc zabitych, uszkodzony samochód i kilka motocykli. W tej potyczce nasze główne siły nie brały udziału.

W czasie marszu niejednokrotnie wybuchały, to z lewa, to z prawa, potyczki między naszymi podjazdami a drob- nymi grupami Niemców. To mobilizowało ludzi. Marsz odbywał się spokojnie. Surowo przestrzegano porządku. We wsi — nie pamiętam doprawdy jej nazwy — rozło- żyliśmy się na krótki odpoczynek. Ludzie musieli się prze- cieć posilić.

Ja, Łobaczew, Malinin i ktoś jeszcze spośród oficerów sztabo- wych i pomocników oddziału politycznego armii, weszliśmy do chaty. Gospodarze przyjęli nas gościnnie. Przybiegli chłopezyk.

— No, młody zwiadowco, co nowego?

Chłopiec, wstydząc się, opowiedział, że tuż przed wieczorem przez wieś przeszły trzy niemieckie czołgi i około pięciu sa- mochodów z wojskiem. Gospodyni dodała: uciekinierzy z Nowody- gina i Tiesowa (15 km na północ) przekazali, że tam dużo nie- przyjacielskich czołgów i aut. Pną, że nie ma ratunku. Przerwał jej męski głos z ciemnego kąta izby:

— Towarzyszu dowódcu, co wy robicie?

Odwrociłem się i zacząłem się przyglądać. Okazało się, że to ojciec gospodyni. Patrząc przenikliwie, mówił głosem pełnym go- ryczy i bólu:

— Towarzyszu dowódcu... sami uciekacie, a nas zostawiacie. Zostawiacie nas wrogowi, a przecież my dla Armii Czerwonej oddawaliśmy wszystko, nawet ostatniej koszuli byśmy nie poża- łowali. Jestem starym żołnierzem, walczyłem z Niemcami. My wtedy nie wpuściliśmy wroga na rosyjską ziemię. A wy, co ro- bicie?

Słowa te pamiętam do dziś. Odczułem je jak policzek. Inni od- czuli to podobnie. Oczywiście staraliśmy się wyjaśnić, że niepo- wodzenia są chwilowe, że wrócimy, lecz szczerze mówiąc, nie by- liśmy pewni, czy przekonaliśmy starego żołnierza, dwukrotnie rannego w czasie I wojny, a teraz przykutego do łóżka. Zegnając się powiedział:

— Gdyby nie ta przeklęta choroba, poszedłbym bronić Rosji...

Znów droga. Zwiadowcy donieśli: na północ od nas po- suwają się w kierunku wschodnim jednostki 18 dywizji piechoty pospolitego ruszenia. Wzięliśmy je pod swoje dowództwo. Od tego momentu nasza grupa przedstawiała dość poważną siłę, mogącą przebić się w każdym kierun- ku. Połączenie się z nami podniosło na duchu ludzi z po- spolitego ruszenia. W trudnych sytuacjach nie tracił głow- y, a i przedtem nie dawał sobie dumuchać w kaszę.

Zbliżał się świt. Przeszliśmy około 30 kilometrów przez uciążliwe bezdroża. Zmęczeniśmy się. I w tym czasie zameldowano mi, że mniej więcej trzy kilo- metry stąd wyładował U-2. Wysłałem tam puł- kownika Baranczuka, naczelnika WWS Armii. Wkrótce

powrócił z radosną wieścią. W Gzacku są nasze wojska. W przeddzień byli tam — Woroszyłow i Molotow. Uszczę- bliwiony Baranczuk nie pomyślał, aby sprowadzić pilota, a nawet nie pytał go o szczegóły. Poleciłem więc dostar- czyć do nas pilota, lecz samolot już się wzbił i poleciał nie wiadomo dlaczego, na zachód. Wiadomość szybko się rozeszła. Posypały się próby, aby pozwolić na dalszą drogę w samochodach. Do Gzacka nie było więcej niż 10 km. Ludzie rzeczywiście byli zmęczeni, a droga daleka. Nad- szedł świt, umożliwiając widoczność aż po horyzont. Toteż podjęto decyzję jazdy samochodami do mostu obok Gza- cka. Dla ostrożności przedni oddział był wzmocniony dwoma czołgami i samochodem pancernym. Kawaleria otrzymała zadanie prowadzenia rozpoznania na północ od miasta, ustalenia, gdzie są przejścia i brody na Gzaci. Po- spolite ruszenie posuwało się w drugim rzucie, ubezpie- czając nas od zachodu i południa. Łobaczew zapalił się, bardzo mu było śpieszno iść naprzód.

— Być może zastanę jeszcze Woroszyłowa.

Pozwoliłem mu iść z przednim oddziałem, ale w sa- mochodzie pancernym i w żadnym wypadku nie wolno pchać się przed innymi. I Łobaczew, członek Rady Wo- jennej, odjechał. Ruszyły kolumny: sztabowa i dowodze- nia, rozciągając się wzdłuż drogi. Chęć szybkiej przepra- wy przez rzekę i połączenie się ze swoimi były zupełnie zrozumiałe. Mimo woli przyspieszając marsz, tuż przy moście, prawie nadeprnęliśmy na koniec głównego oddzia-

łu, który zbytnio się rozciągnął. I w tym momencie nad zagajnikiem, przez który jechaliśmy, wypłynął kolisty obłok i rozległ się wybuch. Znajdujące się na czele wraz z moim samochodem pomknęły naprzód. Czym kierowaliśmy się wówczas wykonując ten skok, trudno wyjaśnić, lecz go zrobiliśmy, a wypadły na odkrytą przestrzeń od razu dostaliśmy się pod ogień wielkokalibrowych karabinów maszynowych i dział czołgowych. Wszyscy rozproszyli się w tyralierę. Zorientowawszy się w sytuacji rozkazałem częściom sił naszej kolumny wzmocnić przedni oddział, który toczył bitwę na zachodnim brzegu Gzaci, usunąć z drogi samochody i zamaskować; 18 dywizja — jednym z pułków związać przeciwnika pod Gzackiem, a głównymi siłami próbować przedrzeć się bardziej na północ.

Sprawa wyglądała tak: BT-7 z głównego ubezpieczenia wyrwał się trochę do przodu, obok mostu natknął się na minę przeciwczołgową i wyleciał w powietrze. Do zbliża- jącego się oddziału nieprzyjaciela otworzył ogień z broni maszynowej i z automatów. W samochód pancerny Łoba- czewa trafił pocisk. Później znaleźliśmy go wewnątrz. Oddział śpieszył się i rozpoczął walkę. Okazało się, że most jest wysadzony. Zdażyliśmy w sam raz, gdyż wi- dząc tak małą ilość naszych, Niemcy usiłowali sforsować rzekę. Próba ta została odparta. Doniesienie pilota oka- zało się fałszywe. Skierował nas wprost w łapy wroga, przypadkowo czy nie — nie wiem. Tak więc droga, którą mieliśmy nadzieję przedrzeć się do swoich, już jest zaję- ta przez nieprzyjaciela. Nie mając środków przeprawy nie mogliśmy sforsować rzeki. Prowadzenie długotrwałej bit- wy też nie miało sensu, bowiem nieprzyjaciel ściągają- cym odpowiednio siły, niechybnie rozprawiłby się z nami. Pod miastem Gzack tymczasem pozostały nasze siły osła- niające, a nasze siły główne, niepostrzeżenie dla Niemców, wykonywały manewr na północ, poruszając się przeskokami. Odszedzszy na znaczną odległość, ciągle jeszcze słyszeli- my wybuchy bomb w stronie miasta. Nad nami przela- tywały bardzo wysoko niemieckie samoloty, lecz nas nie atakowały.

I znów jesteśmy w drodze, rozgramiając małe wrogie oddziały, a omijając liczniejsze zgrupowania. Znów zabie- ralimy każdego, komu udało się przebić przez wewnę- trzny pierścień okrążenia. Przeciwnik silnie obsadził je- dynie główne linie komunikacyjne. Zostały znalezione przejścia przez Gzaci i w nocy, 9 października, szczęśli- wie przeprowadziliśmy się na drugi brzeg.

Nie opisuję wszystkich zdarzeń, potyczek z Niemcami, zdoby- wania i zabezpieczania przepraw. Idąc na wschód, wkrótce wy- waliśmy się z zaciśniętych kleszczy wewnętrznego frontu nie- przyjaciela. Dopiero w lasach na północ od Uwarowki — 40 km od Możajska — udało nam się w końcu połączyć ze sztabem frontu. Otrzymałszy rozkaz przybycia w rejon Możajska. Tego dnia przyjechały po mnie i po Łobaczewa U-2. Datem Malininowi wskazał, jak przejść na nowe miejsce, a sami udaliśmy się do samolotów. Malinin na chwilę się zatrzymał.

— Proszę wziąć ze sobą rozkaz o przekazaniu odcinka wraz z wojskiem Jerszakowowi.

Na pytanie, po co, odpowiedział:

— Może się przydać, różnie bywa...

W niewielkim, parterowym domku odnaleźliśmy sztab frontu. Oczekiwali nas: Woroszyłow, Molotow, Koniew i Bułganin, Kli- ment Jefremowicz od razu zapytał:

— Jak to się stało, że wraz ze sztabem, lecz bez wojska, zna- leźliście się pod Wiaźmą?

— Dowódca frontu poinformował, że jednostki, które winienem przejąć, znajdują się tu.

— Dzwonne...

Pokazałem marszałkowi nieszczęsną rozkaz z podpisami do- wódcza. Woroszyłow miał gwałtowną rozmowę z Koniewem i Bułganinem. Następnie na jego żądanie do pokoju wszedł G. K. Zukow.

— Oto nowy dowódca Zachodniego Frontu — powiedział, zwrac- ając się do nas Woroszyłow. — Zapozna was z nowymi zadaniami.

Wysłuchawszy naszego krótkiego meldunku, Woroszy- łow podziękował nam w imieniu rządu i Naczelnego Do- wództwa oraz życzył sukcesu w dalszej walce z wrogiem.

Wkrótce zostałem wezwany do G. K. Zukowa. Był spo- kojny i surowy. Kryła się w tym silna wola. Przyjął na siebie ogromną odpowiedzialność. Przeciwnie od tego czasu, gdy znaleźliśmy się pod Możajskiem, w rękach dowódcy Zachodniego Frontu prawie nie było wojska. W każdym wypadku było go zbyt mało, aby powstrzymać natarcie nieprzyjaciela na Moskwę.

KONSTANTY ROKOSSOWSKI

Fragmenty książki „Żołnierski obowiązek” opr. EUGENIUSZ IWANICKI



BUNIN

„Gramatyka miłości” to tytuł po-każnego tomu wy-danych ostatnio przez „Czytelnik” opowiadań Iwana Bunina. Bunin — prozak i poeta, a także znakomity tłumacz między in-nymi poezji Byro-na, był jednym z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich XX wieku. Na lo-sach tego pisarza w sposób tragiczny za-ważyla rewolucja, która schronił się na emigrację.

Laureat nagrody Nobla — otrzymał ją w 1933 roku — w swojej twórczości prozatorskiej często powracał do tematyki związanej z życiem ziemianstwa rosyjskiego, opisywał jego upadek ekonomiczny i społeczny; pokazywał obłęd i zakłamanie moralne mieszczaństwa. Był mistrzem krótkiej noweli lirycznej, mistrzem opisu i analizy psychologicznej. Opowiadania zawarte w tomie „Gramatyka miłości” to przede wszystkim wnikliwe studia doznań i przeżyć bohaterów tragicznie uwikłanych w konflikty z samym sobą i otoczeniem. W utworach Bunina miłość z reguły graniczy ze śmiercią. Autor zastanawiał się nad miłością, która zawsze traktowała jako uczucie piękne, burzliwe i nie do opanowania. Opowiadania Bunina, poprzedzone wstępem pióra Jarosława Iwaszkiewicza, są na pewno jedną z ciekawszych pozycji wśród wydanych ostatnio przekładów z literatury rosyjskiej. Bez większego ryzyka można gwarantować tej książce ogromne powodzenie wśród czytelników.

Iwan Bunin — „Gramatyka miłości”, „Czytelnik”, Warszawa 1972, str. 662, cena 55,- zł.

„WAHANIE”

Ta współczesna radziecka powieść psychologiczna nie ma pretencji do wielkiej literatury, jest to po prostu historia o zwyczajnych sprawach zwyczajnych młodych ludzi, których autor — Josif Gierasimow uczynił bohaterami swojej książki. Oryginalny tytuł powieści Gierasimowa powinien brzmieć w polskim przekładzie „zwyczajne wydarzenia” i właśnie takie są sprawy, które łączą trójkę głównych bohaterów „Wahania”.

Josif Gierasimow, przedstawiciel średniego pokolenia pisarzy radzieckich, ma w swoim dorobku kilkanaście powieści i zbiorów opowiadań. Czytelnik polski mógł zapoznać się z jego twórczością poprzez wydane wcześniej: „Mój dom na ziemi”, „Słowiki”, „Kęgi na wodzie” i „Pięć dni odpoczynku”. „Wahanie” to przede wszystkim powieść o ludzkich postawach. Autor spiera tu wydarzenia, które każą bohaterom inaczej popatrzeć na swoje życie, które pokazują, że każdy nowy dzień może przynieść sytuację zmuszającą do prze-wartościowania dotychczasowych poglądów, do zastanowienia się, czy obrany życiowy cel jest rzeczywiście tym jedynym i tym ostatecznym. Walery Matjugorow — człowiek o silnym, wyidealizowanym charakterze — zadaje sobie w ostatnich partiach książki pytanie: „Jakże ja teraz będę żył?”. Jest to pytanie, które ma uświadomić Matjugorowowi i czytelnikom niemożność układania sobie życia według z góry ustalonych schematów.

Josif Gierasimow — „Wahanie”, „Czytelnik”, Warszawa 1972, str. 180, cena 10 zł.

BLISKO ZIEMI

Powieść fantastyczno-naukowa cieszy się popularnością od czasów Juliusza Verne. Obecnie — w dobie pierwszych wypraw kosmicznych — popularność ta jeszcze wzrosła. Juliusz Verne marzył o wyprawie na Księżyc. Dzisiejsi autorzy powieści naukowo-fantastycznych wysyłają swoich bohaterów znacznie dalej, próbując nawet przekroczyć granice naszej galaktyki. Są to jednak nie tylko wyprawy w Kosmos, ale również wyprawy w przyszłość. Autorzy przedstawiają swoją wizję przyszłego społeczeństwa, zdolnego do dokonywania tak skomplikowanych i kosztownych ekspedycji. A przecież szalenie trudno jest im oderwać się od Ziemi, od warunków społecznych, w których sami żyją.

U Siergieja Sniegowa w „Dalekich szlakach” ziemskie społeczeństwo jest idealnie demokratyczne, zapomniało już czym są wojny, żyje w dostatku, jeszcze bardziej doskonaliąc ziemskie warunki bytu. Za to nie wolne jest od konfliktów, jakie my dziś przeżywamy, z tą jedynie różnicą, że dzieje się one w Kosmosie. Gdzieś daleko w Kosmosie istoty półżywe i półmechaniczne opanowały cały układ gwiazdowy, niszcząc życie na wielu planetach. Ludzie — podążając na ratunek zagrożonym istotom — muszą rozstrzygnąć podstawowy dylemat, czy wolno im wtrącać się w „wewnętrzne sprawy” innego układu gwiazdowego w imię bezpieczeństwa i ładu w Kosmosie? Czy wolno dla dobra mieszkańców innego układu naruszać spokój i dobrobyt Ziemi?

Jest też w książce Siergieja Sniegowa fantastyczne wy-dumaczenie zaskakujące ewolucji małpy, a także podobnie fantastyczne wyjaśnienie „rodowodu... diabła. Już choćby tylko dlatego, aby dowiedzieć się, skąd na Ziemi wzięli się ludzie i diable, warto tę książkę przeczytać. Miłośnicy literatury naukowo-fantastycznej znajdą w niej również wiele innych ciekawych spraw. Akcja powieści toczy się warko, jej bohaterowie wnikają się w coraz to nowe przygody, przeżywają konflikty nieobecne i dzisiejszemu światu, spotykają się z twórcami fantastycznej wyobraźni autora. Na marginesie tej książki można się jednak zastanawiać — czy przyszłość nie okaże się bardziej fantastyczna od naszych najśmielszych wyobrażeń o Kosmosie i jego mieszkańcach.

Siergiej Sniegow — „Dalekie szlaki”, Iskry, Warszawa 1972, str. 540, cena: 25,- zł.

„BIAŁA GWARDIA”

Jeszcze jeden genialny lekarz w rosyjskiej literaturze. Michaił Bulhakow, autor słynnej książki „Mistrz i Malgorzata” — wielkiej książki wydobyciej z papierów pośmiertnych. Ostatnio PIW wydał inną, wcześniejszą książkę Bulhakowa „Biała Gwardia”.

Jest to scieżona, może trochę sentymentalna opowieść o bezradności i zagubieniu rosyjskiej inteligencji, która związana z carskim systemem władzy nie może pojąć żywiołu rewolucji. Często zestawia się tu dwie książki: „Droga przez mekkę” — Aleksieja Tolstoja i „Biała Gwardia” Bulhakowa. Ocenianie, która jest lepsza, nie ma sensu — obie są na swój sposób wielkie, obie mówią o rewolucji, a raczej o ludziach w obliczu rewolucji. Podobny krąg tematyczny, co znana wcześniej głośna sztuka „Dni Turbinych”.

Bulhakow nie miał łatwego życia. Lecz cały czas pisał „Biała Gwardia” została jednak solidnie przetrzepana przez ówczesną krytykę. Następne wydania ukazały się już przy-krojone do wymagań tamtych lat. PIW prezentuje nam na szczęście książkę bez tych ampu-tacji. Tłumacze — Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski — osiągnęli właśnie do pierwszego wydania. Dobrze, że odkryto, choć pośmiertnie, tego pisarza. Jego obecność w literaturze radzieckiej jest faktem godnym zauważenia przez polskich wydawców i dobrze, że polski czytelnik może poznać Bul-hakowa nie tylko poprzez „Dni Turbinych”, lecz także po-przez „Mistrza i Malgorzata” i „Białą Gwardię”.

Michaił Bulhakow „Biała Gwardia”, PIW 1972, cena 18 zł.

Piotr Nikolajewicz Kondraszyn jest w rozterce. Bo niby proste — w ankiecie pytają, jak zamierza spędzić wolną sobotę, kiedy teraz robi sprawunki, czy godziny pracy sklepów, punktów usługowych odpowiadają jego potrzebom.

Niby proste ale...

No, dobrze, a jak to będzie, gdy jego, Piotra Nikolajewicza Kondraszyna, zakład przejdzie na 5-dniowy tydzień pracy?

To nie jest pytanie indywidualne. 5-dniowy system pracy staje się stopniowo powszechny w całym Związku Radzieckim. Pierwsza zdecydowała się go wprowadzić Lotewska SRR i już od kilku lat wszystkie zakłady przemysłowe tej republiki pracują według za-

światowej „miłościwie pa-nujący Mikołaj II” zdecydo-wał się na „humanitarny” czyn: czas pracy skrócono do... 10—12 godzin. Uzyska-nie 8-godzinnego dnia pracy było jednym z najważniej-szych postulatów zgłasza-nych przez bolszewików.

Miało się ono — urzeczywi-stnić równo 55 lat temu, w

np. zainteresowanie podno-szeniem kwalifikacji i to nawet u ludzi „wiekowych”, obarczonych liczną rodziną. Z całą pewnością wpro-wadzenie 5-dniowego tygodnia pracy zwiększy nie tylko „margines” wolnego czasu, ale pobudzi już obecnie wy-stępujące zjawiska.

ZJAWISKA

Zaglądam do gazety „Trud”. Informuje ona szeroko o doświadczeniach, jakie zebrały na swoim terenie zakłady Len-ingradu po wprowadzeniu 5-dniowego tygodnia pracy. Oto one: wbrew obawom zanotowano wzrost produk-cji o przeszło 10 proc., tzn. wyższy niż przewidywano. Było to przede wszystkim rezultatem zwiększenia wy-dajności pracy o 9,8 proc., przy czym — rzecz niezwy-kle interesująca — wzrosła liczba osób osiagających i przekraczających wyzna-czone normy.

Ekonomiści i socjologdy radzieccy starają się zresztą

Jeżeli inaczej pracujemy w fabrykach, to trzeba prze-prowadzić wszechstronne zmiany w systemie działa-nia placówek usługowych i handlowych, kulturalnych i rozrywkowych. Popatrz — wskazał mi palcem mój mo-skiewski znajomy — co pi-sała tutaj „Sowietskaja Tar-gowla”:

„W dni pracy najczęściej zakupów w sklepach czyni się wieczorem. Przedłużono więc godziny pracy handlu do 20, a nawet do 21...”

Czytam dalej:

„Trzeba jednak pamiętać, że i w handlu pracują... lu-dzie, że i im należy się re-kompensata w postaci wol-nego czasu. Choćby dłuższy urlop”.

Czy tylko?

Oblicza się: dodatkowy wolny dzień od pracy w ty-godniu to z jednej strony dalsze zwiększenie zaintere-sowania turystyką, usługami kulturalnymi, świątecznym wypoczynkiem, ba, także

KRYSZTOF POGORZELEC

CO BĘDĘ ROBIŁ W WOLNĄ SOBOTĘ?

sady: 5 dni — produkcja, 2 dni — odpoczynek. Podobnie jest już w Leningradzie, stolicy Białorusi — Mińsku, a po nich i sama „białokamienna” Moskwa przeszła na ten system pracy.

Pozornie operacja ta może wydawać się prosta: ot, wysłać od-powiednie zarządzenia i... basta!

Jura, dziennikarz z mo-skiewskich „Izwestii”, nie tylko tłumaczył mi tajniki nowego systemu, ale także sam sobie stawiał pytania. Bo:

— Jak trzeba było prze-prowadzić taką operację, by wprawdzie zmniejszyć ilość dni roboczych, ale równo-cześnie zachować poprzed-nią liczbę godzin pracy?

— Czy zmiany w ilości dni roboczych nie odbiły się szkodliwie na rozmiarach produkcji?

Były zresztą jeszcze inne obawy, choćby o właściwe wykorzystanie maszyn i ur-ządzeń, utrzymanie uzyska-nego już poziomu wydajno-sci pracy. A przy tym trzeba było właśnie wygospodaro-wać jeszcze jeden dzień w tygodniu z „czerwoną kartką”, dzień wolny od zawo-dowych zajęć.

Tutaj trochę historii.

Najpierw była zacięta, bezpardonowa walka. Fry-deryk Engels w swojej pra-cy „Położenie klasy robotni-czej w Anglii”, pokazał ów-czesnemu światu spustosze-nie, jakie czyni wydłużenie czasu pracy do 14—15 go-dzin dziennie. Tak było w Anglii, ale nie inaczej wy-głądał dzień pracy robotni-ka w carskiej Rosji. Właś-ciwie to dopiero w przede-dniu wybuchu I wojny

Wielkim Październiku 1917 roku.

Potem przyszły różne lata. Żyje jeszcze w Związku Radzieckim pokolenie pa-miętające „subotniki”...

Przyszedł i punkt zwrot-ny: rok 1956. Zdecydowano zmniejszyć ilość godzin ro-boczych w dni poprzedzają-ce wolny od pracy dzień, a wreszcie w roku 1960 partia powzięła decyzję o pow-szechnym, 7-godzinnym dniu pracy. Obecnie, w 55 lat po Wielkim Październiku, ty-dzień pracy w Związku Ra-dzieckim liczy sobie 41 go-dzin, a właściwie wliczając w to przerwy na posiłki i śniadania, tylko 39,3 godzi-ny i zawiera w sobie dwa wolne dni od zajęć zawo-dowych.

Nadszedł czas oddechu.

* * *

Bardzo łatwo odnaleźć w Związku Radzieckim ślady tej decyzji. Wystarczy otworzyć którąś z gazet.

Powiedzmy „Izwestia”. Socjologdy przedstawili tam wyniki badań, które w zasa-dzie stanowiły odpowiedź na jedno pytanie: jak mieszka-niec ZSRR spożytkuje wolny czas od pracy?

Co się okazało?

Statystycy zdołali obli-czyć, że tzw. czysty wolny czas obywatela ZSRR (po odliczeniu czasu przeznacz-onego na sen, posiłki itp.) wynosi rocznie około 1500 godzin. Jest to prawie tyle samo, co pochłania praca (około 1800 godzin). I cie-kawa konkluzja socjologów: 90 proc. obywateli radzieckich ma zajęcia o charak-terze kulturalno-oświato-wym. W miarę jak wydłuża się czas wolny, zwiększa się

określić jeszcze inne konse-kwencji, wynikające z 5-dniówki, choćby takie, jak sprawniejsze przeprowadza-nie remontów w zakładach, widoczny spadek awarii ma-szyn, zmniejszenie liczby wypadków przy pracy, obni-żenie się absencji chorobow-jej.

Wyplłynęły przy okazji inne jeszcze sprawy.

Kiedy szedłem późnym wieczorem ulicami Moskwy, rzuciły mi się w oczy dwa charakterystyczne zjawiska: niezwykle zmnożony ruch w sklepach i magazynach, znacznie większy niż przed 2—3 godzinami, no i kolejki przed drzwiami kawiarni i restauracji. Kolejki, bo — wszystkie miejsca są zajęte i trzeba cierpliwie czekać, aż coś się zwolni i portier wpuści do wnętrza.

KŁOPOTY I NOWE PROBLEMY

Bo chodzi nie tylko o to, że społeczeństwo radzieckie stało się po prostu bardziej zamożne, że np. w roku jubileuszowym 50-lecia Rewolucji Październikowej robotnik dostawał za swą miesięczną pracę oko-ło 100 rubli, inżynier-majster — 150 rubli, kierownik wydziału — 200, a dyrektor 300—350 rubli. W zakładach eksperymentujących doszły do tego jeszcze tzw. „bódc-ze materialne”.

Po prostu — coś się zmienia.

„Towarzyszu Ministrze, czym będzie się zaj-mował mój mąż podczas drugiego wolnego dnia od pracy?”

szeregi partyjne przedstawicieli państwa...

W 1945 roku liczba członków partii wynosiła 5.760.000...

W żadnym kraju wojna nie spowodowała tak olbrzymich zniszczeń...

sem: „Mają zajęcie na wiele lat i nie zdołają szybko zlikwidować skutków wojny”.

Inaczej niż w przemyśle, kulturze, oświacie...

Mechanizacja rolnictwa przy małej chemizacji nie dawała przyrostu masy globalnej.

sytuacji musiał nie tylko zapewnić własne bezpieczeństwo, ale i umożliwić budownictwo socjalistyczne...

Wydało się, że amerykańska polityka zbrojeń była związana z przełamaniem przez ZSRR monopolu atomowego...

Nowy układ sił w świecie lapidarnie określił T. Baade słowami: „Każde z mocarstw jest w stanie przez naciśnięcie kilku guzików zniszczyć ludność drugiego...”

Gospodarka radziecka nie zalamala się pod ciężarem haracu zbrojeń. Nadal rosła produkcja globalna...

Kobiety — kosmonautki Walentyny Tierszkowej. Dowodem najwyższego uznania dla radzieckich sukcesów w zakresie badania kosmosu jest ostatnio propozycja amerykańska...

Stany Zjednoczone jako pierwsze wykorzystaly energie atomowa dla celow wojskowych. Natomiast prymat wykorzystania jej dla celow ogolnoludzkich nalezy sie Krajowi Rad, gdzie powstala pierwsza elektrownia atomowa...

Sukcesy na polu wspolzawodnictwa w zakresie wykorzystania osiagnieci naukowych w skali swiatowej stanowią dowod wysokiego rozwoju przemyslu w oparciu o teoretyczne i praktyczne zdobycze nauki...

ju, prace gospodarza, który troszczy się o to, aby i potomkom żyło się przytulnie na tych szerokich ulicach i placach...

Wspiałem się do bazy turystycznej „Gornyj wozduch”, skąd najlepsza widoczność na całe miasto. Niebo było niebieskie, przejrzyste czyste, radosne; lasy zielone, świeże po deszczu...

A dziś miasto zalane jest słońcem, oślepiając bielą się nowe budowle. Po mieście toczą się samochody. Szczyt masztu telewizyjnego podobny jest stąd do kolorowej paliki milicjanta...

Na rogu prospektu codziennie sprzedają kwiaty. Siedzą kobiety z koszami i proponują jaskrawej barwy maki. Dzień pracy w niektórych instytucjach zaczyna się tu o dziesiątej (osiem godzin różnicy czasu z Moskwą)...

Paweł Artemowicz, pierwszy sekretarz sachalińskiego komitetu partii powiedział bodaj nie żartem, że prawdziwego sachalińczyka pozna się od razu, w każdym tłumie go się rozpoznaje.

— Po czym? — śmieje się. — A któż to wie... Najpewniej po otwartości duszy i gościnności... Ludzie u nas — to czyste złoto. A był przecież czas, kiedy niektórzy mebl nie kupowali, żyli jakby tymczasowo, nie wierzyli, że będzie tu wszystko, jak na ładzie.

Paweł Artemowicz, człowiek o niewyczerpanej energii, który stale bywa w najbardziej oddalonych częściach wyspy, opowiada o ostatniej swojej podróży do górników, nafiarczy, rybaków, podpowiada marszrutę...

— Objechalem całą wyspę, zapoznałem się z ciekawymi ludźmi i oto o nich, o tych rdzennych sachalińczykach, chciałbym właśnie opowiedzieć w moich notatkach. Osiem lat temu w Kolendo była tajga; wiatrolomy, zeschnięte, karłowate i trudno dostępne zarośla, niby frontowa spirała Bruno. Teraz zbudowano tu porządne osiedle. Miejscowi poeci układają o nim wiersze.

Właściwie, nie jest to ani miasto, ani osiedle, lecz miasteczko. Jak gdyby dzielnicę czystej, białej Ochy, samo Jej centrum, przeniesiono tu na dziewicze wzgórze. Średnia szkoła, Dom Kultury, około dziesięciu trzypiętrowych bloków, budynek urzędów, przedszkole, kotłownia — oto i całe Kolendo. Rzucisz kamień z górnego pietra, a upadnie w tajdze. W pogodny dzień matki otwierają okna, wpatrują wśród mlekiego histawia swoich dzieci, które zbierają borówki. Matki wołają:

— Taniu, nie odchodź daleko, niedźwiedź może porwać!

Kolendo liczy dwa tysiące pięćset mieszkańców, z czego przeszło połowa to dzieci. Obóz pionierski, a nie osiedle, Jurij Pietrowicz Lykow, kierownik wydziału przemysłu komitetu miejskiego partii pokpiwa z wiertacza — Aleksandra Syczewa: — Krzywa wzrostu pod względem dzieci u was, no cóż, orły, wprost skacze do góry! Eh, gdyby tak jeszcze pod względem wydobycia ropy...

Syczew dobru dusznie uśmiecha się, przesuwa do tyłu przetłuszczoną cyklistówkę. Krzepki, aż promieniuje siłą; duża, uśmiechnięta twarz, podobnie jak cała figura, wprost przyciąga dobrocią, serdecznością. Jeszcze w Ose, opowiadano mi, że Aleksandra Syczewa lubi całe osiedle. Ile już lat minęło od chwili, gdy komuniści jednogłośnie wybrali go swoim sekretarzem. I wywiązuje się on na dwóch frontach: i wiertnicza i kolendowska organizacja, jemu zawdzięczają przodownictwa na całym Sachalinie. Syczew „robi” teraz największy otwór poszukiwawczy na wyspie: cztery tysiące metrów. Około trzech tysięcy już zębierowali. Byłem przy tym szybko i widziałem, jak

Postawy ludzi radzieckich

czegoś dla celów konsumpcyjnych, na rzecz zaopatrywania walczącej armii.

Umowne jest określanie roku 1946 jako pierwszego roku odbudowy powojennej. W istocie o odbudowie należy mówić już w roku 1943, kiedy to przesuwano wojsk przez wyrównane tereny...

To prawda, że już w 1944 r. ograniczono wytwórczość szeregu typów uzbrojenia i zaczęto przestawiać załogi fabryczne na inne asortymenty produkcji, lecz zarazem powstała konieczność budowy dużej ilości nowych zakładów, chociażby dla zaspokojenia potrzeb budownictwa mieszkaniowego, administracyjnego i przemysłowego.

W latach 1946—1950 ujawniły się ogromne „zdolności regeneracyjne” gospodarki radzieckiej. A trzeba pamiętać, że termin „odbudowa” obejmował nie tylko wyrównanie zniszczeń wojennych, ale narzucał także i konieczność odnowienia parku maszynowego, eksploatowanego w latach 1941—1944 do ostatnich granic wytrzymałości.

W krajach kapitalistycznych mówiono wówczas z przeką-

przez wzrost arealu ziem uprawnych. Brak bodźców materialnego zainteresowania kolechożników hamował wzrost wydajności pracy i nie sprzyjał zwiększeniu plonów. Dopiero od 1952 r. produkcja rolna przekroczyła poziom 1940 r. i zaczęła wykazywać wzrost — znaczny jeśli chodzi o rośliny przemysłowe (len, bawełna, tyton, buczaki, cukrowe), mniejszy odnośnie do zboża, bydła i trzody chlewnej.

Dzięki ogólnonarodowemu wysiłkowi, na początku lat pięćdziesiątych ZSRR dysponował ogromnym i wszechstronnym potencjałem ekonomicznym. Przy ciągłym od 1948 r. wzroście produkcji przemysłowej, przystąpił do likwidacji zahamowań w rozwoju produkcji rolnej, poprzez zwiększenie cen skupu i rozbudowę produkcji środków chemicznych dla rolnictwa.

Pokojowy rozwój gospodarki radzieckiej został poddany ponownej próbie na początku lat pięćdziesiątych. Wówczas to USA rozpoczęła gonitwę zbrojeń i popierania potencjalnych agresorów. Stany Zjednoczone pozazdrościły Mikołajowi I roli „żandarma Europy”, chciały go prześcignąć, stając się „żandarem świata”.

Związek Radziecki w nowej

cia ludności, chociaż nie w tym tempie, jakie byłoby możliwe bez obciążeń militarnych.

Na polu budownictwa pokojowego imponujący był i jest wzrost powierzchni mieszkaniowej w miastach i osiedlach. W latach 1950—1966 zwiększyła się ona przeszło dwa i pół raza i wykazuje nadal tendencje rozwojowe. Również w zakresie artykułów konsumpcyjnych trwałego użytku (radioodbiorniki, telewizory, lodówki itd.) w tymże okresie nastąpił średnio sześciokrotny wzrost produkcji (jeśli chodzi o pralki i lodówki, to przeszło dziesięciokrotny).

W dziedzinie zbrojeń ZSRR znalazła się w sytuacji prymusowej. Pomimo nierównorzędnego startu rozgrywkę nie przegrał, prowadząc równocześnie i współzawodnictwo w zakresie osiągnięć pokojowych.

Historyczną datę stanowi 12 kwietnia 1961 roku, kiedy to Jurij Gagarin, jako pierwszy człowiek, znalazł się w kosmosie i na statku Wostok-1 okrążył ziemię. Dalsze sukcesy mają już charakter cyklu rozwojowego. A więc grupowały loty Mikołajewa i Popowicza, Bykowskiego i pierwszej

ności, hart, głęboki międzynarodowy połączony z poczuciem własnej godności.

Naród radziecki świętuje pięćdziesiątą rocznicę swojej organizacji państwowej, mającej za sobą i zwycięstwa militarne, i zwycięstwa na polu osiągnięć ekonomicznych, i poważny udział w światowych osiągnięciach naukowych, które zmieniają „dzisiaj”, a otwierają perspektywy na inne i lepsze „jutro” ludzkości.

W znamiennej atmosferze przebiega rocznica 50-lecia ZSRR. Głoszona od czasów Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej zasada pokojowej koegzystencji i pokojowej rywalizacji dwu systemów światowych powoli staje się rzeczywistością.

Ważne jest to, że i na Zachodzie ostatnio widzimy odznaki gotowości do realizowania polityki odprężenia i co prawda jeszcze ograniczonej, ale mimo wszystko współpracy. Jest to nowe, niewymierzone jeszcze, ale być może brzemienne w skutki nowe, pokojowe zwycięstwo socjalizmu.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI

WITKIEWICZ I INNI

Moje kontakty z naukowcami radzieckimi datują się od wielu lat i na płaszczyźnie wielu tematów naukowych przeze mnie opracowywanych. Kiedy w la-

tach 40-tych i na początku 50-tych zbierałem materiały do dzieł o polskiej kinematografii, to — aby dotrzeć do źródeł dotyczących narodzin i pierwszych lat jej

rozwoju — musiałem poszperać w archiwach i bibliotekach Związku Radzieckiego. Sięgnąłem tam do czasopism filmowych z okresu przed I wojną światową, przechowywanych, prawie w komplecie, w bibliotekach Moskwy, Leningradu i Kijowa. Prócz ogłoszeń i reklam znalazłem tam zestawy filmów proponowanych właścicielom kin, recenzje poszczególnych programów i szereg innych informacji historycznych. Wykorzystałem je w mojej pracy pt. „Polska kinematografia w okresie filmu niemelego 1895—1929/30”, opublikowanej w 1966 r. przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe i Ossolineum.

Wówczas to moi radzieccy koledzy okazali mi wielką pomoc, nie szczędząc rad i wskazówek. W ten sposób udało mi się zebrać obfity materiał dokumentacyjny na temat wczesnych stosunków polsko-rosyjskich i radzieckich w zakresie współpracy

filmowej już od 1906 roku. Były to lata nawiązywania współpracy w dziedzinie kinematografii, a nawet ściślejszych więzów przyjaźni, szczególnie w latach I wojny światowej. To wtedy właśnie między wychodźcami z warszawskich środowisk artystycznych, zaangażowanych do pracy w moskiewskich wytwórniach filmowych, a rosyjskimi twórcami filmowymi i przedstawicielami kół artystycznych obu stolic monarchii rosyjskiej — nawiązała się bliska współpraca i trwała nie serdecznej przyjaźni oraz wzajemnego szacunku.

I znowu nieocenione usługi oddali mi koledzy radzieccy, umożliwiając dostęp do muzeów, archiwów i bibliotek, między innymi T-wa Teatralne, a także kontaktując mnie ze świadkami i uczestnikami tamtych wydarzeń oraz polsko-rosyjskich spotkań, szczególnie z Konstantym Stanisławskim i

Władimirem Niemirowiczem-Danczenko. Profesorowie A. Lebediew, S. Komarow, S. Ginzburg, L. Kuleszow, doc. G. Awerbuch i inni zdołali mi zapewnić opiekę naukową i dostęp do wielu materiałów historycznych. Ich życzliwość i serdeczny stosunek do mojej pracy, a także osobista gościnność dały mi możliwość przezwyciężenia niejednej trudności podczas kilku wizyt w ZSRR.

Dzięki temu mogłem opracować dzieło filmowania przez polskich operatorów wydarzeń rewolucyjnych w Rosji w 1917 i 1918 roku w ówczesnym Piotrogradzie i Moskwie. Nasi operatorzy, jak Jan Skarbek-Malczewski, Eugeniusz Modzelewski, Piotr Nowicki, zarejestrowali wówczas na taśmie filmowej także wiele niezapomnianych chwil z wystąpień W. I. Lenina na wiecach i mityngach w obu stolicach już rewolucyjnej Rosji.

Poza pomocą w nawiązywaniu kontaktów osobistych, naukowcy radzieccy poszli w swej życzliwości i koleżeńskim świadczeniu usług tak daleko, że sami wyszukiwali potrzebny mi materiał historyczny i wykonywali niezbędne dla opracowania mikrofilmy, które przesyłali mi do Łodzi. Prof. I. Znaczkow-Jaworski z Leningradu, prof. S. Komarow z Moskwy, prof. P. Gnypl i prof. J. Anisimow z Kijowa, kand. n. W. Listow z Leningradu, oper. W. Nowicki z Moskwy i inni oddawali mi w tej mierze nieocenione usługi.

Prawie cały materiał do opracowania monografii na temat życia i działalności twórczej Władysława Starewicza na terenie Rosji carskiej (1882—1965), wybitnego pioniera sztuki filmowej i twórcę filmu lalkowego na świecie — znajdował się w Moskwie. Twórczość Władysława Starewicza — to prawie cała historia filmu talkowego

TEATR

Niepewność

W pierwszej chwili widzę nie dostrzegając wtopionej w ową szarą śledzącą nierzuchomą, szczupłą sylwetkę Marty (HALINA BILLING). Twarz aktorki przypomina martwą maskę. Jej grę cechuje duża oszczędność gestów, niemal bezrucz i nieprawdopodobny spokój. Zobojętniała na wszystko, co się wokół niej dzieje wygłasza swe kwestie jednostajnym, monotonnym głosem. Łatwo jednak dostrzec, iż jest to spokój pozorny, zachowany dzięki ciężkim przeżyciom i wieloletnim doświadczeniom.

Jest to postać — symbol. Oślepiła podczas tortur zadawanych jej przez biurokratów, jak Temida posiada zdolność wyostrzonego odczuwania. Umie odgadnąć ludzkie zamiary, a jej osąd decyduje o ocenie innych osób. Pełna spokoju, dobroci, miłości, ciepła i zrozumienia reprezentuje swą postawią zaufanie do ludzi i prawdziwy humanizm.

Jej najjaskrawszym zaprzeczeniem jest Stepan Syrowarow (WŁODZIMIERZ SAAR) — sprytny, zakłamany i bezwzględny. Jednak dzięki temu, iż świetnie potrafi udawać moralistę i nieskazitelny człowieka udaje mu się zostać członkiem partii oraz zająć wysokie stanowisko. W. Saar z powodzeniem „rozprawił się” z tą postacią, uosabiając w niej najgorsze i najbardziej znienawidzone cechy, jakie człowiek może posiadać. W Stepanie wszystko jest „udanem i wyrachowaniem”. Przesadnie uprzejmy i usłużny dla swych zwierzchników, wobec najbliższych ukazuje swe prawdziwe oblicze: teńbórza, despoty i egoisty zdolnego za cenę własnej wzdry do największych podłości.

Równie egoistyczną postawę prezentuje młody kosmopolita Sierioża Szabrin (LUCJAN WIERNIEK). Jego cynizm i wygodnictwo sugerują widzowi, że za kilka lat stanie się on z pewnością równie bezwzględny i bezduszny jak Stepan.

Trudne zadanie miał ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI w roli Porfiriego, „białego” emigranta, który wiodł na obczyźnie ciężkie, tułaczkie życie. Zarówno cierpieniem fizycznym (stracił oko i głos), jak i moralnym („zapłacił” pełną cenę za bilet do ojczyzny). Wchodząc po latach do własnego domu zjawia się ukradkiem, w ciemności, jak duch

I znika równie cicho, niepostrzeżenie.

U Leonowa obok subtelnej analizy psychologicznej i wzniosłej romantycznej patetyki występuje często soczysty i jaskrawy humor. Najlepszym tego przykładem jest Sarpion Tiotkin w wykonaniu MARIANA WOJTCZAKA. Ten potężny, oleforemny, grubasowy Sarpion, wdowiec, ojciec ośmiorga dzieci, zachowuje się w scenie oświadczywszy jak nieśmiały chłopiec. Śmiechy i wzrusza zarazem swą bezradnością i zażenowaniem. Nieco inny rodzaj humoru, który można określić mianem „smutnego”, proponuje JERZY SZPUNAR w roli ciągle pijanego Łopotuchina. Potrafi być przebiegły, sprytny, złośliwy i trzeźwo oceniający zaistniałą sytuację. Nawet scena jego śmierci jest zaskakująca.

Leonow wprowadza ważniejsze wątki już od momentu związania się akcji „Zamieci”, rozwijając konflikt dramatyczny ogarniający prawie wszystkie występujące postacie, gdyż na marginesie pozostają: Katarzyna, Potaszow, Lizawietta, Iwan Tiotkain. Autor niezbyt jasno sprecyzował charakter i treść konfliktu związanego z tymi postaciami. Również „młode pokolenie” jest ukazane w „Zamieci” zbyt schematycznie. Autor poddaje je raczej jako temat do refleksji, lecz nie udziela konkretnej odpowiedzi na pytanie — jakie ono jest?

Reżyser — RYSZARD SOBOLEWSKI starał się przenieść realny konflikt społeczny lat 30-tych na płaszczyznę ogólnoludzką i ponadczasową. Poprzez możliwe wszechstronną analizę postępowania bohaterów dramatu ukazuje różnice ich postaw ideowo-etycznych oraz stosunek wobec życia i otoczenia. W tej koncepcji ośrodkiem zainteresowania staje się społeczny człowiek i jego codzienne sprawy. Wydobycie charakterystyczne dla Leonowa podteksty zawierające filozoficzno-ideową problematykę utworu. Dzięki temu pod warstwą pozornie mało ważnych dialogów można odczytać stany uczuciowe bohaterów, ich duchową rozterkę i niepokój. Stowem — to wszystko, co kryje się pod symbolicznym tytułem: „Zamieci”.

Mroczną atmosferą niepewności i podejrzliwości poświetla scenografia OLAFI KRZYSZTOFKA.

MIECZYSLAWA WALCZAK

Syczew w brezentowym chalcie, wydaje komendy swoim pomocnikom. Borys Wasiljewicz Worotnikow, ich majster wiertniczy, odpoczywa na łądze, Syczew na razie go zastępuje...

A teraz „z prawami komisarza” Aleksander Dmitriewicz pokazuje nam Kolendo. Zatrzymawszy się przy skwerku, przestąpił z nogi na nogę i jakby coś zawinił, rozłożył ręce:

— Oto wszystko... Wszystko na widoku. Mieszkamy jak na dłoni.

W Kolendo nie ma ani jednego milicjanta. W księgarni pracujemy społecznie. Kiosk prowadzimy na podobnych zasadach. Amatorski ruch artystyczny — najlepiej rozwinięty w okręgu. W każdym mieszkaniu jest gaz, gorąca woda, telewizor. A Moskwę już dawno oglądamy...

Do Syczewa podbiega dziewczynka, coś szepcze i za moment słyszymy:

— Moja córka, Luda. Prosi na obiad...

Wchodzimy na drugie piętro. Drzwi otwiera Raisa Iwanowna, żona Syczewa. Wita się z nami i z miejsca zaczyna „leciutki” „objazd”: nigdy nie doczekasz się go na czas, to zebranie, to posiedzenie. Gdyby przynajmniej jakieś hobby nim ovladnęło — łowiłby ryby, na polowanie poszedł...

— Spójrz na Golowina. Jest inżynierem, a muzyka się biera. Kononienko — taki sam wiertacz, a odpoczywa, znajduje czas, niedźwiedzia niedawno upolował. A mój, chyba dla dekoracji powiesił strzelbę na ścianie i nie wyszł ani razu. Weź swoją pracę zajęty, o innych raczej wciąż myśli.

— Dość już tego niedźwiedzia, słyszeliśmy o nim tyle razy — odgrzyza się łagodnie Syczew. — Nieś no prędzej obiad. Widzisz, że towarzysze z drogi i chłodni...

Syczewowie mieszkają na Sachalinie już dwudziesty pierwszy rok. Pochodzą z saratowskiego. Owszem, wyjeżdżali na łódź, lecz nie wytrzymali i powrócili — jak mówi Raisa Iwanowna.

— A tu u nas przyjemnie — daje, rozlewając herbatę. — Bardzo lubię... Oczywiście, burze zimą zdarzają się, do samych dachów nawiewa, lecz my już przywykliśmy. No, cóż, żyjemy. Syna wychowaliśmy — w Moskwie studiuje na trzecim roku...

SACHALIN

Syczewowie — to typowa rodzina w Kolendo. Z kim nie pomówisz, prawie podobna biografia. A wyróżniają się tutejsi mieszkańcy dobrocią, serdecznością, męstwem i pogodą ducha. Przechwalać się nie lubią, chociaż i mają czym. Takim właśnie jest Syczew. Siedzi sobie, już piątą filiżankę herbaty nalewa z samowaru, a nie możesz się do niego dobrać. Uśmiecha się, wzrusza ramionami: „No, wiercimy, szukamy ropy...”. Żeby coś opowiedział. Przecież wiertacz — to zawód trudny, nawet gdzieś nad Wologą. A tu miejsce nie zbadane, nad głową nie dach, lecz niebo. Na Północnym Sachalinie, niebo zdradliwe. Jak zawiewie huragan od cieśnicy Ciepłen, ryknie kamczacki „boczny” — to trzymaj się liny, bo i wagonu nie odnajdziesz.

A tymczasem budują w każdą pogodę. Już dwadzieścia lat dziurawi Syczew ziemię sachalińską. Wśród wzgórz, w tajdzie przy pionowych skalach. Wierci i jeszcze po uszy siedzi w pracy społecznej. Przecież w miasteczku mówią o nim: „nasz komisarz”, „nauczyciel”. Jest sekretarzem partyjnym, a to znaczy, że wszystkie radości człowieka i smutki przepływają przez jego serce...

Już z górą rok lata Tagincew nad Sachalinem.

— Tak naprawdę, to sam wprosiłem się na wyspę — zauważa, wieszając na gwóźdźu czapkę lotniczą. — Już w dzieciństwie, jako uczniowi, marzył mi się daleki wyjazd...

Przed chwilą wylądował z nim z Rybnowska. Leciełszy nad rzeką Glucharka, nad Tungorem. W maszynie celowo nie zadawałem pytań. Nie chciałem przeszkadzać. Cieszyłem wzrok kolorowym dywanem dolin i wzgórz. Za to teraz słucham go z przyjemnością.

— Tak, sam się wprosiłem, a jakże, podanie nawet złożyłem... Jestem w końcu byłym pilotem wojskowym, lejtanantem. Prawda, nie powiodło mi się. Zaledwie skończyłem uczyć się, a nieba ledwo liniałem, gdy rozwiązali nasz pułk. Niech pan sobie przypomni redukcję wojsk o milion dwieście. Cóż, właśnie ja trafiłem do tego strumienia. Przyjechałem do domu, do Brińska i poszedłem do pracy w zakładach

włókienniczych. Miałem dwadzieścia lat — wszystko przede mną. Rad nie rad, pracuję sobie. Przed młodymi wszystkie drogi stoją otworem. A jednak praca szła mi jak z kamienia... Proszę mi wierzyć, chodziłem jak ugotowany. Zobacząc samolot, aż serce mi ścisła. Budziłem się nawet w nocy. Byłem wtedy krótko po ślubie. Żona, nie trudno się domyślić, młoda, a tu westchnienia i papierosy jeden po drugim... W końcu porządnie się wściekała. Po kim on tak cierpi i schmie w oczach? — myślała. Za przestworzem, Ha!u, tęsknić, za niebem. Oj, mądrąła z niej nie lada, wnet pojęła, że nie ma dla mnie życia poza lotnictwem. I wtedy złożyłem podanie. Wprost na Sachalin. Miałem wtedy kumpla, Sławkę Pietruchina, służyliśmy razem w pułku. Z nim to, nie doczekawszy się odpowiedzi, zrobiliśmy skok na wyspę. Przyjeźli nas bez przeszkód. Byłem krótko mechanikiem, a potem „antkiem” latałem. Od sześćdziesiątego trzeciego — tutaj w Ose na helikopterach. Teraz jestem zastępcą dowódcy. I do partii tu mnie przyjęli. No, cóż jeszcze? — Latamy, kolujemy pomalutku...

Tagincew — to człowiek wesoly, dowcipny i jego „kolujemy pomalutku” słyszałem już nie jeden raz. Wiem, że za tymi słowami kryje się codzienna, napięta i najczęściej niebezpieczna praca. W tutejszych warunkach piloci helikopterów nie mają utartych szlaków, latają bowiem do najbardziej nieoczekiwanych miejscowości. Niekiedy budują Tagincewa w środku nocy, przywykli już do tego. Nie zapalając światła, chwytają z wieszaka kurtkę i na palcach skradają się do drzwi. A tu żona już się obudziła, zagradza drogę i każe szalik założyć na szyję, wypić gorącej herbaty.

Tylko żony lotników wiedzą, co znaczy odprowadzać nocą mężów. Nawet w mroku widzi proszące oczy Hall i Tagincew idzie do stołu, przelika coś niecoś, spogląda za parawan, gdzie śpią jego córki — jedna drugoklasistka Lena, a druga, młodsza, nazwana na cześć żony — Hala...

W porcie Tagincew dowiaduje się, że „trzeba iść” w rejon Czingajta, tam geolog zasiadł. I oto już śmigła tną powietrze, w kabinie pachnie lekarstwem, leci helikopter świetli naprzeciw.

A na drugi dzień Tagincew zmieniał załogę wiertaczy, z geodetami szedł na Potonaj. W drodze powrotnej od Morza Ochockiego naleciał — jak zerwany z łańcucha — szkał. W pięć minut wszystko poczerwiano. Ledwie zdą-

żył Tagincew wylądować na piaszczystej łasze. Przeczekał, z termosu kawkę lyknął i „potupał” dalej.

Nawet godzina nie minęła, a już nastąpiła krawców inna pogoda: niebo lazurowe, leciutką mgiełką parują wzgórza, lśnią i szmaragdem ploną sosnowe zbocza. Ach, jaki piękny jest Sachalin, skapany deszczem! Raduje się duża Tagincewa; mruga do drugiego pilota Jurija Jemieljanowa: spójrz, powiada, spójrz tylko, a wierszem przemówisz.

A już szczególnie upodobał sobie Tagincew loty obok przylądów Elżbiety i Marii, nad szerokim zalewem Bajkału. Czego tu nie zobaczysz! Widać, jak w przezroczystej wodzie przesuwają się ogromna ryba — kaługa, walczą o zdobycz lisy. Zostawił odpływ na mieliźnie coś jadłowego, a już żer otacza przetrzona zwierzyna, nisko krąży orły, żarłoczne mewy. Raz sztorm wyrzucił martwą jaskółkę — aż dwa niedźwiedzie ją powitają. Niedźwiedzi na północny jest dużo i helikopterów one się nie boją. Lowią sobie pod loskot silników łosose syberyjskie i gorbusze, ścianą pędzące w stronę górnego biegu na tarło...

Najczęściej wszakże nie ma czasu dla zachwytów nad widokami. Zadania są zwykle pilne i ważne, a i pogoda nie rozpieszcza. Nowy otwór przygotowują, przez góry linie elektryczną budują, to znów w dolinie kopią, i wszędzie helikopter służy. On podpory wleczę, instrumenty wiezie, rury i kable.

A iluż ludzi uratowali piloci helikopterów! Nie tak dawno Tagincew z dowódcą Anatolijem Kiryłowiczem Olchowatenko, odznaczonym orderem Lenina, lądował w nocy na światła ognisk. W tajdzie słup przyniósł młodego robotnika. Lot był prawie niemożliwy, lecz oni polecieli i wyrwali z łap śmierci człowieka.

Każdy tutejszy lotnik ma na rachunku po kilka podobnych wypadków. Włodzimierz Aleksiejewicz Tarzanow dwadzieścia razy latał w kierunku Trambusa, gdzie na mieliźnie osiadła barka. Dwadzieścia razy opadała drabinka linowa do szalejącego morza.

Przełożył:
WITOLD SŁOTWIŃSKI

od narodzin, tj. od 1910 roku — aż do 1958 roku włącznie.

Dość uslugi w zebraniu materiałów do monografii o Starzewiczu oddał mi prof. S. Ginzburg, autor pracy o filmie lalkowym. Swolmi wspomnieniami na temat współpracy ze Starzewiczem w wytwórnich moskiewskich podzielił się ze mną: prof. A. Lewicki, senior operatorów radzieckich, reż. B. Michin i W. Chanżonkowa — pracownik naukowy filmoteki radzieckiej. Bezinteresownie ofiarowali mi nawet niektóre unikalne, dotąd nie publikowane, materiały historyczne i fotografie. Naukowcy radzieccy pomagali mi nie tylko na miejscu, ale także z własnej inicjatywy i z całą gotowością wyszukiwali w archiwach i bibliotekach potrzebny mi materiał historyczny oraz przysyłali mi do Łodzi mikrofilmy i fotokopie. Zkromadzony materiał czeka obecnie na opracowanie.

Z bardzo serdecznym oddźwiękiem spotkałem się na Syberii, po opublikowaniu mojej pracy przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w 1959 roku pt. „Na syberyjskim zesłaniu”. Tematem książki była współpraca i przyjaźń polskich i rosyjskich rewolucjonistów na zesłaniu i katordzie syberyjskiej w XIX wieku. Profesorowie Irkucki uznali moją pracę za wiele dla nich interesującą i politycznie pożyteczną. W tymże roku zostałem zaproszony do Irkucka, gdzie przez miesiąc byłem gościem pracowników naukowych Katedry Historii Uniwersytetu Irkuckiego.

Na ogół mało jest znana w kraju postać Jana Witkiewicza, bardzo bliskiego krewnego Stanisława Witkiewicza i jego syna, Stanisława Ignacego Witkiewicza-Witkacego.

Jan Witkiewicz, to postać nieznana i barwna. Ten człowiek, nader utalentowany i wszech-

stronny, w polskiej literaturze historycznej nie posiada dotąd swojej monografii.

Mając zaledwie 14 lat, za demonstrację szkolną w Krożach na Zmudzi zostaje skazany przez wileński sąd wojenny w 1824 roku na karę śmierci, a następnie utasakowany i zesłany dożywno w charakterze szeregowca do pogranicznych garnizonów na Uralu. Tam, po kilku latach, awansował na adiutanta gen.-gubernatora orenburskiego, W. Pierowskiego i stał się znawcą ludów Azji Środkowej. Odbił kilka śmiałych podróży, między innymi do Buchary, która szczególnie — ze względu na wykazaną odwagę, zmysł poznawczy i umiejętność obserwacji — zjednała mu rozgłos i uznanie władz carskich. Totż niebawem awansowano Jana Witkiewicza na sztabs-kapitana gwardii carskiej i wysłano w 1837 roku z misją specjalną do Kabulu, stolicy

Afganistanu. Rosji chodziło o poróżnienie chana tego kraju z Anglikami, którzy posiadali tam duże wpływy, i zjednanie Afganistańczyków.

Witkiewicz doskonale wywiązał się z swojej misji, Anglię został przepędzić z Kabulu, a chan Afganistanu przyjął opiekę cara Mikołaja I. Jednak wkrótce Rosja wycofała się ze swych przyrzeczeń, danych chanowi Afganistanu, zaś Witkiewicza wezwano do Petersburga. Nasz bohater, po powrocie do stolicy Rosji, w przeddzień wyznaczonej mu audyencji u cara, został zamordowany w hotelu wraz ze swoim ordynansem. Według oficjalnej wersji było to samobójstwo, co kwestionują jednak historycy radzieccy i czemu nie dala wiary rodzina Witkiewicza.

Jan Witkiewicz był pierwszym Polakiem w Kabulu i pierwszym carskim dyplomatycznym wianikiem w Afganistanie. W Związku Radzieckim napisano o

Witkiewiczu dwie książki: jedną poświęcono jego misji dyplomatycznej w Kabulu, drugą — jego stosunkom z sultanatami Azji Środkowej, pracy tłumacza i autora słowników turko-tatarskich, szczeremu przyjacielowi tamtejszych ludów i plemion.

Zafascynowany tą niezwykłą postacią, postanowiłem zgromadzić materiały na temat jego życia i działalności. I tym razem w sukurs przyszedł mi koleżdy radziecki, bowiem największe materiały źródłowe znajdujące się na terenie ZSRR. Pierwszy nadesłał mi książkę o Janie Witkiewiczu prof. dr S. W. Szostakowicz z Irkucka, drugi egzemplarz — doc. dr S. Łapin z Kuraganu w Syberii zachodniej, trzeci — doc. dr I. Bursztejn z Taszkentu. Drugą książkę przysłała mi doc. F. I. Stiektowa z Alma-Aty, która zresztą dotąd tropiła po bibliotekach i archiwach źródła historyczne do dzieł Jana Witkiewicza, kon-

taktując mnie ponadto z poszczególnymi badaczami radzieckimi, którzy w swoich pokrewnych poszukiwaniach natknęli się na interesujące mnie materiały.

Mój nieoceniony przyjaciel z Leningradu, prof. dr I. Znaczkow-Jaworski także pomaga mi bardzo wydatnie, szperając w archiwach i bibliotekach, robiąc notatki ze wskazanych przeze mnie pozycji archiwalnych czy książkowych.

I tak oto, dzięki współpracy naukowej i osobistym przyjaźniom z moimi radzieckimi kolegami, będę mógł zgromadzić całość bardzo różnorodnych, interesujących i nie znanych dotąd materiałów historycznych, dotyczących życia i działalności naukowej i dyplomatycznej Jana Witkiewicza, które — po uzupełnieniu innymi, rozproszonymi po archiwach i bibliotekach innych krajów, posłużą mi do napisania monografii.

POEZJA RADZIECKA

Z KLASYKI GRUZIŃSKIEJ

GRIGOŁ ORBELIANI

Muchambazi

Gdy w sen zapadam, ty w snach moich mieszkasz,
Oczy otwieram — na rzęsach mych mieszkasz.

Jam twój niewolnik po ostatnie tchnienie,
Śmierć przyjmę, twoim zadaną ramieniem.
Gdziekolwiek pójdziesz, nie pójdziesz beze mnie.
Myśląc, żeś sama, tak myślisz daremnie.
Cóż ci to wadzi, że jestem twym cieniem
I „jakżeś piękna” szepczę z uniesieniem?!

Gdy w sen zapadam, ty w snach moich mieszkasz,
Oczy otwieram — na rzęsach mych mieszkasz.

Z kibici jesteś topoli podobna
I z talli jesteś do tęczy podobna,
Z ócz lśnienia błyskom błyskawic podobna,
Woń róży tchnieniu twojemu podobna...
Kiedyż ci rzekną: „Tyś moją, nadobna”?!

Gdy w sen zapadam, ty w snach moich mieszkasz,
Oczy otwieram — na rzęsach mych mieszkasz.

Dziesięć mam ścieżek — ku tobie jedynie,
Smutek, gdy lica twe obaczę, minie.
Chcę o czymś mówić — wymawiam twe imię.
W głowie mąj czuję i nie wiem, co czynię.
Nigdy nie pytasz: „Czemuś smutny przy mnie”?!

Gdy w sen zapadam, ty w snach moich mieszkasz,
Oczy otwieram — na rzęsach mych mieszkasz.

Któż? O któż mojej współczuje katuszy?
Komu potrzebny, prostak, syn pastuszy?
Czym żyw, czy martwy — i kogo to wzruszy?
Cierpię czym wesół — kogoż to poruszy?
Ty jedna pojdziesz strapienia mej duszy.

Gdy w sen zapadam, ty w snach moich mieszkasz,
Oczy otwieram — na rzęsach mych mieszkasz.

W Sad Ortaczalski pójdz — zobacz, żem junak.
Z druhami hulam — więc zrozum, żem junak.
Popatrz, jak pijam — a pojdziesz, żem junak.
Z boju na pięści zmiarkujesz, żem junak...
Może mnie wtedy pokochasz — bom junak!

Gdy w sen zapadam, ty w snach moich mieszkasz,
Oczy otwieram — na rzęsach mych mieszkasz.

Przełożył: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Z GRUZIŃSKIEJ POEZJI LUDOWEJ

Matko, nie gub mej młodości...

Matko, nie gub mej młodości!
Zostaw, zostaw mnie w spokoju!
Czemu każesz mi się wydać
Za Dżituję, za opoję?
Na cóż mi się zda mąż-głuptak,
Chuderlawiec, tępak, bojak,
W którym nie masz nic z tygrysa
I któremu wadzi zbroja,
Który rodu nie rozslawi
Ani szabli w chlubnych bojach,
Co nie umie spaść jastrzębiem
Z gór i siać wśród wrogów bojażń.
Co mi domu nie obroni,
Gdyby napadł nań nieswojak,
Co obelgę puści płazem,
Zamiast zetrzeć ją żelazem,
Co mi, przodków swych zakąła,
Nie da dziecka, matko moja?!

Mnie potrzebny młodzian hardy,
Mąż, co byłby słońcu równy.
Co dla kłamstwa czułby wzgardę,
W domu wesół, zaś za progiem
Dla lampartów był lampartem,
Co by umiał piorun miecza
W pierś wrogowi wbić po gardę.
Co by mir miał w naszej wiosce,
Był ostoją jej i skarbem!
O kim by, gdy śpi, mówiono:
„Słońce zaszło, mrok na dworze”,
A też: „Wszedł księżyc miły” —
Gdy porzuca rankiem łożę.
Kto nie posiadał tych przymiotów,
Moim mężem być nie może —
Tak mówiła córka matce
W lubej dziewczosłębów porze.

Przełożył: TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

OJARS VACIETIS

Temperatura ziemi

Nie cyklon,
Który grudzień w marzec zmienia.
Nie pogoda i nie maszyny. —
Temperatura Ziemi
Od nas samych pochodzi,
Temperaturę ziemi
My sami tworzymy.

Jeśli broniąc się przed mrozem,
strzeżemy okien, jak oka w głowie,
Jeśli w Rydze, powiedzmy, jest minus dwadzieścia trzy
To znaczy, po naszej ulicy
Przechodzi lodowy człowiek
Z takim sercem
Jak u ryb.

A jeśli u nas
Czegoś tam jeszcze nie starcza dla wszystkich ludzi.
I jeśli surowo ściągamy brwi,
Gdy to nas nęka,
To znaczy, że w naszej pracy znów wzięła udział
Zimna jak sopel,
Znużona ręka.

Wyście winni lśnić w światłach,
Gdy wieczór cienie rozszerza
I rdzawą rudę
W iskrzącą się radość metalu zamieniać

Życie — termometr,
To ono każdego z nas zmierzy
Czerwone lśnienie naszych sztandarów —
Oto jest temperatura Ziemi.

Przełożył: IGOR SIKIRYCKI

IMANTS AUZINŠ

Dziecko śpiewa

— Iki-riki-tari —
iki-riki-tari...

Lśni jesienne słońce,
klony purpurowe,
dziecko samo sobie piosenkę układa.

Cóż znaczą te słowa?
— Znaczą, że się wnet wybiorę
aż za sine bory,
za czerwone, żółte klony,
a nawet za góry,
iki-riki-tari,
iki-riki-tari...—

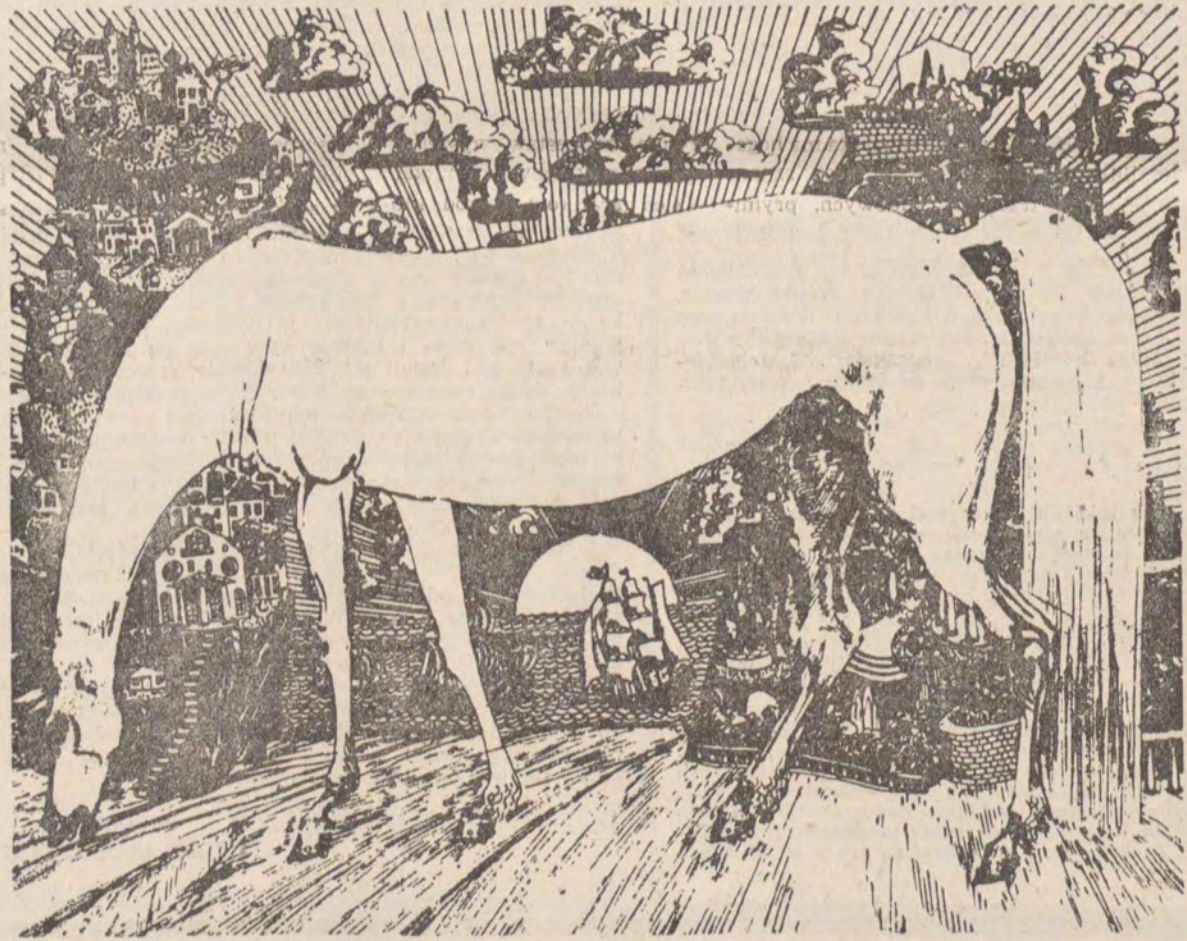
Opadają żółte liście,
wiatr zapachy niesie w darze
przez pełne bogactwa jesienne obszary,
iki-riki-tari,
Jak starsi się trudzą,
Jak mięśnie bolą!
— Skończ już swoje czary-mary —
iki-riki-tari.

Sam chcesz pójść za sine bory
sam chcesz pójść za białe góry
giną wątle nuty żalu,
iki-riki-tari.

No, a jeśli za lasami bleda drzemie
jeśli wkrótce setka rakiet zmiażdży ziemię
i góry rozwali?

— Wszystko jedno:
iki-riki-tari!
iki-riki-tari!

Przełożył: IGOR SIKIRYCKI



NATASZA DOBROCHOTOWA. Rysunek tuszem.

ALEKSANDER FENIOW

Z cyklu: „Dziennik pokładowy”

Lód. Kra bez końca pod pokładem pęka,
Mgla niby czad rozlewa się na skale,
Noc. Dikson. Port. A ponad portem tęcza
W niebo ogromnym wznosi się portalem.

Bezgłośnie, cicho horyzont się pali
Jasnoplmiennym, czerwonym ogniem,
I lody płoną tutaj i w oddali,
I nieba wyżej już nie można podnieść.

Wejść tu. I zostać. Ów sens zamazania
W tym miejscu, które zapomniało słońce
Zrozumieć, niemą nocą, w drobnym migotaniu
Dalekich gwiazdozbiorów, nigdy nie gasnących.

Statki na redzie. I puste nadbrzeże.
Obelisk rośnie wysoko na skale...
Noc. Morze. Sztil. Tęcza młoda, świeża,
W niebo ogromnym wznosi się portalem.

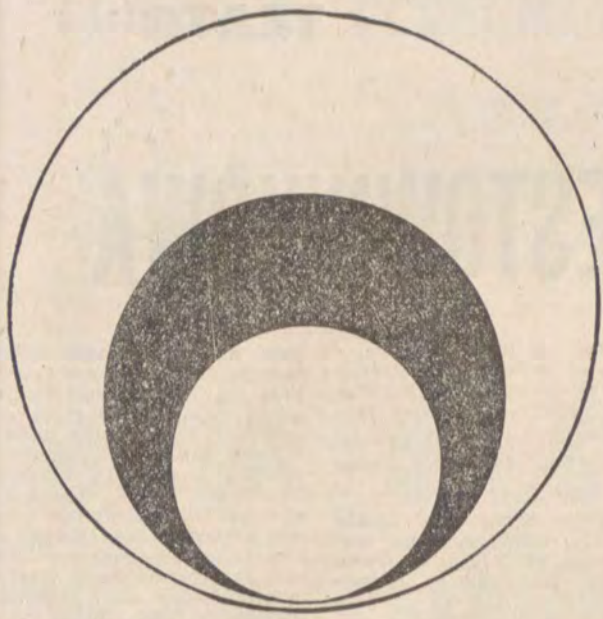
Przełożył: MAREK WAWRZKIEWICZ

MAKSIM TANK

Maska

W muzeum — maska poety
Skamieniała.
Obojętna na wszystko.
Rozbijcie, albo przyjmijcie ją!
Czyż byście nie wiedzieli,
Ze, gdyby on był takim,
Na pewno by jeszcze żył.

Przełożył: MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ



ZWIĄZEK POLSKICH
ARTYSTÓW PLASTYKÓW
BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W ŁODZI

GRAFIKA BULGARSKA

listopad-grudzień 1972
Ośrodek Propagandy Sztuki -
park im. H. Sienkiewicza

Współczesna grafika bułgarska, jak cała zresztą sztuka bułgarska, rodziła się w warunkach specyficznych i na odmiennej od innych krajów słowiańskich bazie. Wielowiekowa niewola turecka zdusiła i spętała kwitnącą onegdaj kulturę bułgarską, zapędziła jej resztki w mury górskich, niedostępnych monastyrów, które na długie stulecia stały się jedynymi jej bastionami. Miało to decydujący wpływ na obszary jej działalności, jak również i tematykę ograniczoną ściśle

do treści religijnych. Renesans sztuki i kultury bułgarskiej następuje dopiero w pierwszych dziesiętkach XIX wieku, ostatnich latach tureckiego panowania i po uzyskaniu przez kraj ten niepodległości. Okres ten zresztą nazywany jest przez historyków Odrodzeniem Narodowym, albo też inaczej Renesansem Bułgarskim.

Grafika bułgarska ma bogatą tradycję, których szukać trzeba w ludowych, prymitywnych grawiurach o treściach sakralnych, masowo

powielanych i rozpowszechnianych, zwłaszcza za przetrzeni XIX wieku. Na tej bazie w latach 20-tych i 30-tych naszego stulecia powstało wiele interesujących dzieł, zrywających z naturalizmem i akademizmem, charakterystycznym dla oficjalnej sztuki Bułgarii po roku 1878. Bułgarscy graficy, czerpiąc wiele ze sztuki ludowej, starali się stworzyć własny styl, wypracować własny język artystycznego wyrazu. Starali się włączyć w nurt sztuki europejskiej, z tym, że nigdy nie weszli do ścisłej awangardy, zajętej przede wszystkim dywagacjami formalnymi. Wydaje się, że więcej poświęcali uwagi sprawie treści oraz precyzji tradycyjnego warsztatu, niż poszukiwaniom nowych kombinacji formalnych. Należy pamiętać, że zbyt długie lata niewoli uczuliły artystów bułgarskich szczególnie na urodę rodzimego pejzażu i na sprawy bezpośrednio związane z człowiekiem. Tym to sprawom dawali oni pierwszeństwo w swojej twórczości.

W latach 50-tych i 60-tych naszego stulecia kierunkiem wiodącym w plastyce bułgarskiej był socrealizm i jak można wnioskować, jest on w nieco tylko zmodyfikowanej formie preferowany nadal. W zestawie grafik eksponowanych w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza, wszystkie prace mają charakter realistyczny lub naturalistyczny. Nie dostrzega się również przykładów formalno-warsztatowych eksperymentów mimo, że zestaw wyszedł z pracowni czelowych bułgarskich grafików, wśród których są również twórcy średniego i młodego pokole-

nia. Niewiele jest także przykładów tak popularnej dziś w świecie grafiki kolorowej. Bułgarzy operują najczęściej czernią i bielą i wyraźnym, często poddanym zabiegom deformacji i stylizacji rysunkiem.

Rzucającą się w oczy cechą bułgarskiej grafiki jest

Wrześniowego z 1923 roku, wreszcie z ruchu oporu przeciw hitleryzmowi w latach II wojny. Osobny dział stanowią sceny stylizowane świadomie pod ludowe formy obrazowania, wykorzystujące regionalną ornamentykę i plebejskie formy zdobienia.

sposób dyskretny, a większość grafik bułgarskich artystów cechuje umiar w dozowaniu owej ekspresji, świadome ograniczanie środków wyrazowych. Prostota więc i umiar są wyróżnikami grafiki bułgarskiej. I niezależnie od powodów, które skłania-



Z WYSTAWY GRAFIKI BULGARSKIEJ

jej tematyka. A więc są to przede wszystkim pejzaże, raz liryczne, kameralne, innym razem monumentalne, udratyzowane i pełne ekspresji, oraz karty z historii narodu bułgarskiego — sceny z Powstania Kwietniowego 1876 roku, z antyfaszystowskiego Powstania

Graficy bułgarscy pozostają chętnie przy tradycyjnych formach warsztatowych — przy drzeworycie, technikach metalowych. Popularna jest również monotypia, pozwalająca na swobodne i pełne ekspresji ujęcie tematu. Mistrzostwo profesjonalistów przejawia się tu w

ją jej twórców do trzymania się tradycyjnych środków i sposobów wyrazu, posługują się oni nimi sprawnie i świadomie, tworząc dzieła nie tyle nowatorskie, co nasycone treściami najczystszy humanizmu.

ANDRZEJ GRUN

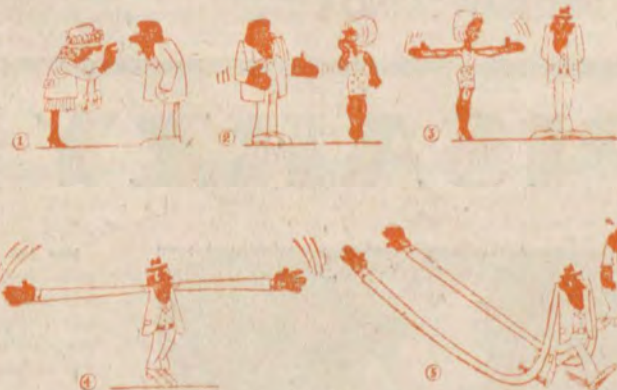
HUMOR RADZIECKI

JURIJ ALEKSANDROW

U prokuratora

Do pokoju wszedł mężczyzna pod czterdziestkę ze zmęczeniem na twarzy i grubą teczką pod pachą.
— Oto — powiedział ze smutkiem. — Proszę czytać, pisać i zająć stanowisko. Dłużej nie mogę tego kryć.
Praktykantka Zinoczka przestała pisać i ze zdziwieniem spojrzała na mężczyznę.
— Siadajcie Władimie Aleksandrowiczu — powiedział prokurator, przysuwając krzesło. — Co się stało?
— Ciągłe to samo: poprawki, dopiski, zawyżanie procentów. Zresztą, czytajcie sami.
Mężczyzna położył przed prokuratorem grube skoroszyty z jakimiś papierami i dokumentami.
— Zie wychodzi, towarzyszu dyrektorze — powiedział prokurator, przeglądając stronę po stronie. — O, tu, wszystkie cyfry napisano niebieskim atramentem, a wy poclagnęliście je czerwonym. To zbyt widoczne. Cóż to, zabrakło niebieskiego?

— To jeszcze głupstwo — odpowiedział dyrektor. — Proszę calej.
— Poprawiacie zbyt mocno. Ileż to razy mówilem: piszcie ołówkiem. Wówczas lżej ścierać. Dopiero później poclagajcie atramentem. A tak, proszę, przetarliście na wylot. A chociaż procent jest dobry?
— Dobry, najlepszy w okręgu.
— Winszuję. A może napijecie się herbaty z cytryną?
— Nie chcę herbaty — twardo powiedział dyrektor. — Chcę, byście spisali protokół.
— Eee... Zaraz protokół!
— A gdybym był dyrektorem magazynu, posiadziłbyście mnie?
— Oczywiście.
— A dyrektorem restauracji?
— Natychmiast.
— Wobec tego piszcie protokół. Żądam tego!
— Nie będę — odpowiedział prokurator i postawił przed dyrektorem szklankę z herbatą.
— Ale dlaczego, dlaczego? — z rozpaczą zapytał dyrektor.
— To wszystko nerwy. — po-



Plotka

wiedział prokurator. — Zawsze tak bywa na koniec roku. Przecież zostało niewiele. Wkrótce urlop, poleżycie sobie na słoneczku, wykąpicie się w morzu — i wszystko minie.
— Znaczą się nie zamknięcie mnie?
— Nie! — Twardo odezwał się prokurator, odprowadzając gościa do drzwi. — Życzę wam, towarzyszu dyrektorze, sukcesów zarówno w pracy jak i w życiu osobistym.
— Nic nie rozumiem — powie-

J. NIKOLSKIJ

W kwestii formalnej

Od dawna nie zgadzali się ze sobą w wielu kwestiach, lecz byli zgodni w jednym: we

wszystkim musi być porządek. Kiedy więc pomiędzy małżonkami dojrzewała kolejna awantu-

ra, wiedzieli co robić.

— Jak ustalamy regulamin awantury? — zapytał pewnego razu mąż.
— Czterdzieści minut — dzie-
sięć minut na papierosa — zaproponowała żona.
— No, czyż nie jesteś głupia jak ten korek?! Kto czterdzieści minut...
— Idioto! Przecież jeszcze nie

zaczęliśmy! Gdzie twoje zamiłowanie do porządku? O, nie, nie pozwolę wciągnąć się w kłótnię na żywioł!
Zawstydzony i zażenowany mąż, zaczął przeproszać.
Żona przyjęła jego skruchę i wybaczyła.
Kolejne domowe awantury odbywały się już ściśle według regulaminu.

J. NIKOLSKIJ

Bardzo mi miło

Przez dziewięć minut okładali się nawzajem gdzie popadło.

Na ringu trwała walka nie na życie a na śmierć. Dwukrotnie zjawiał się lekarz i udzielał im pomocy. Zataczali się ze zmęczenia, zalewali ich pot. Lecz oto walka zakończona... z promiennymi uśmiechami zaczęli iść ku sobie. Na ich twarzach można było odczytać: „Byłem wielce zadowolony i miałem ogromną przyjemność kiedy pan raczył uderzyć mnie hakiem w szczękę. Od pańskich ciosów poczułem się naraz bogatszy zarówno fizycznie jak i moralnie. Z całej siły będę podtrzymywał tak miłą znajomość!”

Cokolwiek by się nie powie-

działo, bokserzy są najbardziej przyzwyczajeni i niepamiętliwi ludzkie na świecie.



Aha! Czas na obiad.

BILANS

jednego tygodnia

Chciałbym dzisiaj pokusić się o ocenę programu całego tygodnia. Oczywiście nie o ocenę merytoryczną poszczególnych pozycji, co byłoby absolutnie niemożliwe przy rozmiarach niniejszego felietonu, lecz chciałbym podzielić się ogólnymi wrażeniami, jakie wyniosłem po tygodniowym, dość uważnym śledzeniu telewizyjnego repertuaru.

Częściej zdarza mi się dzielić z Państwem swymi krytycznymi uwagami, niż chwalić. Obecnie z góry odwołując się do sprawiedliwości i zadowolonym uderzam w optymistyczny ton. Żeby jednak być całkowicie w porządku wobec Czytelników i siebie, muszę nieco spuścić z tonu, gdyż był to program doskonale ułożony, ale dla tych widzów, którzy najlepsze pozycje oglądali po raz pierwszy.

Powtórzenia są oczywiście potrzebne, nieraz bardzo cenne. Nie wszyscy przecież w swoim czasie mogli zobaczyć tak doskonale filmy jak radziecki „LECA ZURAWIE” czy francuski „KOBIECI I MĘŻCZYŹNA” albo nasze „POZEGNANIA”. Kinomani czy wytrwali widzowie na pewno wykazali mniej entuzjazmu.

Tak czy inaczej program był bogaty i urozmaicony, a przy tym pierwszy (program) z drugim, w miarę rozsądnie zsynchronizowany, co nie jest rzeczą łatwą, a tak bardzo ważną.

Chciałbym przede wszystkim odnotować dwie pozycje seryjne, które dobiegły końca. LEONARDO DA VINCI jest trochę poza dyskusją. Film o trudnym do określenia gatunku — popularnonaukowy, biograficzny, historyczny? Wszystkiego w nim było po trochu. Wydawać by się mogło, że tak wiele wiemy o Leonardzie, a jednak... Nie znużono nas przy tej okazji profesorskimi wywodami, lecz opowiedziano historię ludzkiego geniuszu ciekawie, lekko i pomy-

słowo, czasami wzruszająco. Dobiegły końca obrazki czechosłowackiej TV Z ZYCIA WYŻSZYCH SFER. W tym wypadku nie bardzo jest czego żałować. Serialowi brakowało lekkości, oryginalnego dowcipu, chociaż oglądaliśmy dobre aktorstwo i sprawną robotę reżyserską. Kpinki z angielskiej arystokracji mogą nas bawić i śmieszyć, ale nie w tej konwencji, w dodatku nie dość jednolitej. Pożegnany SUTERKOT, który się z niej wychylił w stronę groteski, był chyba najlepszy.

Trzeba jednak w sumie telewizję naszych sąsiadów pochwalić. Za pomysłowość i sięganie po rozmaite tematy do realizowania których, mimo egzotyczne scenerie, nie trzeba wojażować za dalekie granice. Choćby za nowele utrzymane w konwencji westernu. Ostatnia ZŁOTY KANION wg opowiadania Jacka Londona była doskonałym przerywnikiem w programie. Poprzednie też nie były gorsze.

Wydarzenia tygodnia to jednak przede wszystkim filmy. (O Teatrze Poniędzialkowym pisałem w poprzednim numerze). Jak wszystkie tracą na małym ekranie, ale cóż można na to poradzić. Z filmami telewizyjnymi nadal panuje posucha w naszym repertuarze. Film Kalatozowa to pozycja znana. Jeden z najlepszych dramatów psychologicznych w radzieckim kinie ostatnich lat, w sposób odmienny i odkrywczy pokazuje determinację ludzkich losów na tle odległej, lecz wszechobecnej wojny. Przypomnijmy „Złota Palma” na MFF w Cannes w roku 1958 — pozycja, którą bez wahania można zaliczyć do współczesnej klasyki.

Również zdobywcą Grand Prix w Cannes, (z 1966 r.) chociaż rewelacją w zupełności innym sensie, był film Claude Leloucha KOBIECI I MĘŻCZYŹNA. Ten czolo-

stawiciel francuskiej „nowej fali” potrafił z banalnego tematu, wydawałoby się wyeksploatowanego do cna, zrobić film tchnący autentycznym, nie kliwym lecz gorzkim liryzmem i głęboką prawdą psychologiczną.

I chociaż w filmie Kalatozowa Tatiana Samojłowa jest doskonała, to trudno byłoby sobie w ogóle wyobrazić powstanie filmu Leloucha bez Anouk Aimee. Znamy ją z wielu filmów, często nie najlepszych. Tutaj jest fascynująca i, jak mówi się banalnie w takich wypadkach, stworzona do tej roli.

Po filmach „Wajdy i Kawalerowicza „POZEGNANIA” zainaugurowały cykl poświęcony twórczości Wojciecha J. Hasa. Film swego czasu zrobił karierę może bardziej dzięki melodii Kaszyckiego „Pamiętasz była jesień”, ale jest to na pewno opinia krzywdząca. Zarówno książka St. Dygata pod tym samym tytułem, jak i obyczajowo-psychologiczny dramat Hasa przetrwały zwycięsko próbę czasu.

O rozrywce w TV naprawdę nie mam już zdrowia pisać. Nawet doroczny koncert „BARBORKA-72” nie wyróżnił się niczym, co można by skwitować dobrym słowem. Mimo udziału piosenkarzy z wielu krajów nie, z zapewne dobrych zamiarów, nie wyszło. Jak znam górników na pewno w dniu święta znaleźli sobie lepszą rozrywkę. I nie przez to nie stracili.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę Państwa na 50-minutowe filmy amerykańskie, które na swój użytek nazwał „advokat i syn”. Ostatni „GODZINY GROZY” rzeczywiście dość wnieśli odpowiadał tytułowi. W roli głównej występuje G. Marshall i mimo iż jego bohater jest nieco świętoszkowaty — to mocny atut filmu.

I na koniec „CYGAN BURDUSZ”. To filmowa wersja popularnego serialu w Jugosławi p.t. „Muzykaneci”. Piękna to, prawdziwa i mądra ballada. Zrealizował ją Mica Popovic — pisarz, malarz i reżyser. To chyba wszystko wyjaśnia. Gdyby się tak udało nam zobaczyć „calych” „MUZYKANTÓW”. A może jednak?

JAROSŁAW TARNO

UCIECZKI

JURIA KRESTOWNIKOWA

„Szczęśliwe dni”, nowa sztuka Aleksiego Arbuza jest utworem wielowarstwowym. Bohater sztuki, Krestownikow jest widziany i osadzany przez chór, złożony z trzech osób; wydaje również o nim swe opinie środowisko, w którym

Jurij Krestownikow żyje i pracuje; wreszcie, i on sam wydaje na siebie wyrok, gdy retrospektywnie dokonuje przed śmiercią analizy własnego życia. Różnice sądów w tych trzech warstwach są diametralnie różne. Dla jasności nazwałbym to rozwarstwieniem formalnym, gdyż istnieje jeszcze w tej sztuce bogata tkanka wątków i motywów, które pozwalają określić „Szczęśliwe dni” jako sztukę o miłości, i nie będzie w tym przesady, bo w „Szczęśliwych dniach” kochają się starzy i młodzi, ojcowie i matki, rozwódki i wdowy.

Pełny tytuł tej dwuczęściowej sztuki: „Szczęśliwe dni nieszczęśliwego człowieka” nie brzmiałby w polskim przekładzie najlepiej. Dlatego tytuł skrócono. W pierwszej części Krestownikow, pracownik naukowy, ma 24 lata i protestując przeciwko projektowanemu przez matkę, Helenę, drugiemu małżeństwu i jej wyjazdowi za granicę, opuszcza dom rodzinny i w związku z tym, po latach, w przedśmiertnym rozrachunku ze swym losem powie: „Szczęście to decyzja, nieoczekiwane postanowienie, które czyni cię wolnym”. Przez swój wyjazd Krestownikow „wyswabada się” również z więzów uczuciowych w stosunku do Arizy. Ale chociaż teoretycznie decyzja Krestownikowa jako „chłodnego” intelektualisty, ceniącego nade wszystko spokój i swoją karierę naukową, wydaje się prawdopodobna, to praktycznie, z tak zwanego punktu widzenia nie jest łatwa do zrozumienia. Bo i w czym mogłoby przeszkadzać 24-letniemu dorosłemu mężczyźnie drugie zamążpójście matki? Czym więc tłumaczyć w rzeczywistości jego decyzję? Trudnym dzieństwem z powodu porzucenia Heleny przez pierwszego męża? Byłaby to łatwizna artystyczna. Dlatego trzeba podkreślić słuszną koncepcję aktorskiej Kazimierza Borowca, który silnie zaakcentował wrodzoną nerwowość Krestow-

nikowa, co już — łącznie z postawą życiową „chłodnego” — leżąc neurasteniczemu pracownikowi nauki — tłumaczy jego szaloną decyzję, którą powziął w pierwszy szczęśliwy rekemo dzień w swoim życiu.

Aleksy Arbuza w sposób śmiały i ostry zarysował specyficzną atmosferę w środowisku pracowników naukowych, wśród których nie brak — jak świat światem — neurasteników i dziwaków. Nawet profesor Berg, poczciwiec, ma swoje nieszkodliwe maniactwa i jest bohaterem kolportowanych w Instytucie złośliwych anonimowych epigramatów, które mu psują humor. Tadeusz Schmidt stworzył żywą postać jowialnego a zarazem porywczego profesora. Autorem szyderczego epigramatu okazał się Włodzisław (Zbigniew Nawrocki), Arizę zagrała z liryzmem Irena Bartosińska, w roli Chorego wystąpił Adam Daniewicz, Borysa grał Wojciech Pilarski. Nielatwą rolę Heleny, której Krestownikow narzuca wyimaginowany przez niego konflikt, zagrała z zadziwiającą finezją (bo głęboko przejmująco, a jednak — dyskretnie) zbyt rzadko widziana na scenie Urszula Modrzyńska.

Część druga dzieje się w osiemnaście lat później, mamy rok 1956, Krestownikow jako profesor zdążył już zmienić trzy katedry naukowe; czeka — na czwartą. Ten niełatwy we współżyciu „silny” człowiek ma już czterdzieści dwa lata, jego neurastenia i agresywność przychyliły i osłabły, ale filozofia życiowa i ośchłość nie uległy zmianie. Niczego się nie nauczył. I tu znów trzeba zapisać ku zasłudze Kazimierza Borowca zaakcentowanie pozornego opamiętania, które jednak nie zabezpiecza Krestownikowa przed wybuchem wrogości, skierowanej przeciwko innym i przeciwko samemu sobie. Związany przyjaźnią (nazwijmy to w ten sposób) z Zimną (Barbara Wałkówna) przebywa on na wypoczynku nad morzem, gdzie zawiera znajomość z emerytowanym cyrkowcem Filipowem i jego córką Nastią, których grają, Dobrosław Mater i Zofia Grażewicz. Krestownikow po raz drugi w swoim życiu przeżywa uczucie miłości, do Nastii. W tym drugim „szczęśliwym”

dniu nie pomogą już żadne pozory. Krestownikow oszukuje się, że „szczęście to postanowienie, które czyni cię wolnym”. Nie znajdzie na swą obronę żadnych quasi-argumentów i wyrzuci krzywdę Nastii tak, jak wyrzucił poprzednio Helenie, Arizy i sobie samemu. Jego druga ucieczka, tym razem — od Nastii, to tchórzostwo i wygodnictwo (które mu zapewnia związek z Zimą). Nastia rezygnuje i zostaje z ojcem.

Scenografia Iwony Zaborowskiej przypomina z zachowaniem różnicy rozwiązań plastycznych koncepcję scenograficzną zastosowaną w „Judaszu” Huberta Rostworowskiego, dramatu wystawionego w Teatrze Nowym. Dużo wolnej przestrzeni, pewna surowość wyrazu elementów malarskich i symboliczne skróty nie odwracają uwagi widzów od tekstu, który uzyskał znaczenie nadzwyczajne. Reżyseria Witolda Zatorskiego nie zagubiła niczego z kardynalnych założeń sztuki Arbuza, a skorygowała pewne słabości dramaturgiczne. Zatrudnienie trzech reprezentantów chóru w rolach pracujących pośpiesznie „maszynistów teatralnych” okazało się pożytecznym pomysłem, dzięki któremu ich szybkie sady o Krestownikowie docierają dobitnie i zwięźle do widzów. Również cały szereg szczegółów, jak zatrzymanie huśtawki, pustej i kolyszającej się siła ciężkości, a znieruchomiałej nagle w pozycji niemal horyzontalnej, było znaczącym sygnałem, że rozmowa Krestownikowa z Ojcem (Zbigniew Józefowicz) toczy się tylko w pamięci Krestownikowa. Takie i podobne im rozwiązania ułatwiają widzom odbiór sztuki i pogłębiają jej wymowę.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Teatr Nowy w Łodzi, Aleksy Arbuza „Szczęśliwe dni”. Sztuka w 2 częściach. Przekład Andrzej Marczewski. Adaptacja i reżyseria Witold Zatorski. Asystent reżysera Zbigniew Nawrocki. Opracowanie muzyczne Anna Płoszaj.

WIZYTA PISARZY

LITERATURA



Od lewej: WIKTOR BORYSOW, IWAN SOLDATIENKO oraz ANATOLIJ GRECZANIKOW.

Fot. E. Kudał

Bieżący rok, jubileuszowy dla Związku Radzieckiego, zaznaczył się rozszerzeniem polsko-radzieckich kontaktów kulturalnych, toteż gościliśmy w Łodzi kolejną delegację pisarzy naszego sąsiada.

WIKTORA BORYSOWA w zasadzie nie trzeba nawet przedstawiać. Wieloletni kierownik sekcji polskiej w Komisji Zagranicznej Związku Pisarzy ZSRR, kieruje obecnie wydziałem krajów socjalistycznych, jednakże nie utracił zainteresowania naszym krajem i jego literaturą. Niedawno dokonał przekładu dwóch wyborów współczesnej polskiej literatury, tłumaczył także powieści Kornela Filipowicza i Ryszarda Kłysia. Dla serii wydaw-

niczej pod nazwą „Biblioteka Współczesnej Polskiej Literatury” obejmującej utwory powstałe w pierwszym dwudziestopięcioletnim PRL przetłumaczył opowiadania Iwaszkiewicza, Putramenta, Zukrowskiego, Brylla i Parandowskiego. Dokonał także przekładu dramatu Tadeusza Różewicza „Grupa Laokona” i „Szachy” Stanisława Grochowiaka.

Wiktor Borysov pilnie śledzi wszystkie nowiny wydawnicze w Polsce i jak to wielokrotnie podkreślał, spodziewa się, że odwiedźmy w Łodzi pozwolą mu zapoznać się z nowymi zjawiskami naszej literatury, które będzie można zaprezentować czytelnikowi radzieckiemu. Interesują go także dokonane

przez łódzkich pisarzy przekłady z literatury narodów Związku Radzieckiego, wysoko przez niego cenione. „Można chyba nawet powiedzieć — stwierdza — że istnieje łódzka szkoła tłumaczy”.

Jakby potwierdzeniem tych słów był uroczysty wieczór przekładów w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, na którym tłumacze łódzcy zaprezentowali współczesną poezję radziecką. Wziął w nim udział: Tadeusz Chrościelewski, Jan Huszcza, Tadeusz Gieglar, Józef M. Kononowicz, Igor Sikirycki, Mieczysław M. Szargan, Jerzy Waleńczyk oraz niżej podpisany, a nie jest to bynajmniej pełna lista tłumaczy zamieszkałych w Łodzi.

Nie też dziwne, że miejscowa oficyna wydawnicza może poszczycić się wydaniem pierwszej w Polsce antologii wierszy białoruskich, a w przygotowaniu są już następne wybory poezji narodów Związku Radzieckiego.

Tej działalności edytorskiej zawdzięczamy właśnie częste wizyty pisarzy radzieckich w naszym mieście.

IWAN SOLDATIENKO, którego gościł ostatnio, jest sekretarzem zarządu Związku Pisarzy Ukrainy. Z wykształcenia psycholog, wysoko ceni literaturę psychologiczną, co znalazło także wyraz w jego własnej pracy pisarskiej. Jest autorem tomów opowiadań „Błękitny płomień”, „Zarna”, „Kowale nowego życia”, ma w swoim dorobku również zbiory reportaży „Na różnych szerokościach” (Francja, Kuba, Irlandia), „Indie”, wreszcie zbiór esejów krytycznych pt. „Pokolenie i literatura”.

„Odwiedzałem już niejednokrotnie Polskę jeszcze wtedy, gdy pracowałem w Komсомole — stwierdza Iwan Soldatienko — po raz pierwszy jednak odbyłem po naszym kraju podróż literacką. Mam nadzieję, że będzie ona jednocześnie twórczą przygodą. Tym bardziej, że obserwujemy u nas spore zainteresowanie tematyką polską, ukazało się wiele książek przedstawiających to wszystko, co w historii łączyło nasze narody. Ukazują się także liczne przekłady z literatury polskiej i co roku organizowane są dekady

polskiej książki. Tłumaczy się u nas na Ukrainie, literaturę całej Europy i muszę stwierdzić, że literatura polska zajmuje w tych przekładach miejsce znaczące. Myślę, że wzajemne kontakty ukraińsko-polskie rozwijają się prawidłowo, choć należałoby sobie życzyć, aby się jeszcze rozszerzały. Poprzez osobiste kontakty i poprzez książki, takie choćby jak wydana u nas pozycja pt. „Maksim Rylski w kręgu słowiańskich poetów”, gdzie uwzględniono twórczość Mickiewicza, Tuwima, Broniewskiego, których, jak wiadomo, Rylski tłumaczył.

Także ANATOLIJ GRECZANIKOW, wiceprezes Związku Pisarzy Białoruskich, autor zbiorów wierszy „Okrągły plac”, „Czas chleba”, „Magistrat” za dowolony jest z wizyty w Łodzi.

„Czytam — zwierza się — polską literaturę w oryginale, ale kiedy nie osmieliłem się jej tłumaczyć, otkadałem to do wizyty w waszym kraju. Teraz zajmuję się przekładami, uważam to nawet za swój obowiązek. Wysoko cenię twórczość Różewicza, Tuwima, Galczyńskiego i Broniewskiego. Mam w Moskwie specjalny sklep z polską książką, który często odwiedzam, i też orientuję się w najnowszym zbiorze wierszy polskiej literatury. Waszego języka uczyłem się samodzielnie i choć mówienie po polsku sprawia mi jeszcze kłopoty, nie wątpię, że do brzo opanuję wasz język. Zainteresowanie Polską jest przecież tradycją naszej kultury”.

KONRAD FREJDLICH

ZBIEG Z PEENEMÜNDE

1.

Luty 1945 roku na wybrzeżu Morza Bałtyckiego nastąpił ciepły, prawie wiosenny, śnieg tajal.

W Peenemünde-West, na doświadczalnym poligonie lotniczym, wprost przeciwnie, ocieplenie i bezchmurne niebo przyjęło z zadowoleniem — pozwalało to na zwiększenie planu lotów. Tutaj wypróbowywano najnowsze typy broni, produkowane przez niemiecki przemysł zbrojeniowy: działa, zdalnie kierowane pociski, rakiety i torpedy. Na lotnisku 35 samolotów, w większości dwumotorowe bombowce typu „Heinkel-111”, kilka hangarów i duży sztabowy bunkier, zbudowany we wrześniu 1943 roku, po nalotach alianckiego lotnictwa.

Pod jednym z „Heinklów” krzątają się mechanicy, montując nowy system podwieszania rakiet V-1. Od czasu, gdy wyznaczonej nowej broni, którą Hitler nazywał swoją „nadzieją nr 1”, zostały zbombardowane, latające pociski, kierowane na Londyn, wystrzelivano wyłącznie z samolotów. Tuż obok terenów doświadczalnych — grupa więźniów w pasiakach.

W jednym z pomieszczeń sztabu odbywa się właśnie odprawa pilotów. Nagle telefon. Oberleutnant Graudentz podnosi słuchawkę: „Który z pańskich idiotów wystartował, jak postrzelona wrona?” — słyszy w słuchawce wściekły głos swego zwierzchnika. Graudentz drętwieje, ale spogląda na wykaz lotów i, już nieco uspokojony, melduje służbie: „Pan się myli, panie pułkowniku. Teraz nikt nie startował”. Jednakże głos w słuchawce gromi dalej: „Dopiero co wyleciał jeden z pańskich samolotów „He-111”, „Gustaw-Anton”! Rzeźczywiście, samolot ze znakiem „G-A” należał do eksperymentalnej grupy Graudentza.

Graudentz łączy się natychmiast z dowódcą pułku myśliwców w Greifswaldzie. Dziesięć minut później w pogon za „Heinklem” wylatuje „Messerschmitt”. Bierze kurs na wschód, bo piloci wiedzą, że „Heinkel” ma za mało paliwa, by mógł dociągnąć do Francji, czy Anglii. Po spenetrowaniu wybrzeża Bałtyku myśliwiec powraca na lotnisko w Peenemünde-West. Po bombardowaniu ani śladu...

Tego samego dnia wieczorem, w Karlshagen-1, „filii” obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, SS-mani rozpoczynają dochodzenie. Na razie udaje im się ustalić tylko jedno: dziesięciu jeńców radzieckich, codziennie pracujących na lotnisku, nie powróciło do obozu.

2.

Dowództwo Luftwaffe w Peenemünde-West oskarżyło administrację obozu, że „zamiast robotnika fizycznego podsunęła im bolszewickiego lotnika”. Z kolei komendant obozu usiłował przekonać wojskowych, że wśród uciekinierów nie było ani jednego pilota. Jednakże nazajutrz, podczas tortur, udało się SS-manom wyciągnąć od jednego z jeńców ważną informację: nauczyciel Nikitienko, który zniknął poprzedniego dnia, jest w rzeczywistości lejtanantem Armii Czerwonej, lotnikiem, Michailem Diewjatajewem.

3.

W 1937 roku Misza Diewjatajew został lotnikiem Armii Czerwonej. Zaraz w pierwszych dniach wojny zestrzelił niemiecki bombowiec „JU-87” i został odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy. Dwa miesiące później został ranny i znalazł się w szpitalu. Ale już w trzynastym dniu kuracji wyszedł przez okno ze szpitala, nałożył mundur, który donieśli mu mechanicy, i zameldował się w pułku. W jednej z walk powietrznych zestrzelił dwa samoloty niemieckie, ale i sam został ciężko ranny. Znowu szpital. Tym razem dopiero po trzech miesiącach mógł wstać z łóżka. Początkowo latał na samolocie zwiadowczym, a następnie, w 1943 roku, żądał za sterami myśliwca. W tymże roku wstąpił do Partii Komunistycznej. Później Michał Diewjatajew zestrzelił dalszych dziewięć hitlerowskich samolotów, w tym trzy bombowce. Został powrotnie odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy. Wiosną 1944 roku, pod Lwowem, „JAK” Diewjatajewa został trafiony serią pocisków zapalających. Samolot stanął w płomieniach. Pilot chciał dociągnąć do swoich, niestety — musiał skakać na spadochronie, stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, usłyszał pierwsze słowa po niemiecku: „Los, Iwan! Stehe auf!”

Następnego dnia, wraz z dwunastoma innymi jeńcami-lotnikami, został przewieziony do Warszawy, a stamtąd do obozu jenieckiego w głębi Niemiec. Tam zaprzyjaźnił się z pewnym majorem, byłym wykładowcą w szkole lotniczej. W rozmowach stale powracano do jednego tematu: jak uciec z obozu. Ale szansa nie było prawie żadnych. Do linii frontu 600 lub 700 kilometrów. A jednak wpadli na pomysł fantastyczny: dostać się na pobliskie lotnisko i zagarnąć gotową do lotu maszynę!

Postanowiono wykopać tunel aby wydostać się poza obóz i przejść na pobliskie lotnisko. Tunel odkryli hitlerowcy. Po śledztwie gdy przywieziono go do obozu w Sachsenhausen, Michał Diewjatajew był w takim stanie, że mógł śmiało uchodzić za umarłego. I „umarł” — tak przynajmniej odnotowano w księgach obozowych... Towarzysze pomogli mu „otrzymać nowe nazwisko”, po dopiero co zmarłym nauczycielu — Nikitienko. „Jeśli SS-mani dogrzebią się, że żyjesz i jesteś lotnikiem, tego samego dnia pójdziesz do pieca” — ostrzegli go przyjaciele.

4.

Myśl o ucieczce nigdy nie opuszczała Diewjatajewa. Ale jej szanse były nadal równe zeru. W jakiś czas potem, wraz z dużą grupą innych jeńców, przewieziono go do obozu w Karlshagen-1, „filii” Sachsenhausen, na wyspie Usedom. Obóz znajdował się w pobliżu tajnego eksperymentalnego poligonu wojsk lądowych Peenemünde-Ost, gdzie Werner von Braun pracował nad skonstruowaniem sterowanych pocisków V-2. Dalej na północ znajdował się eksperymentalny poligon Peenemünde-West, na którym wypróbowywano techniczne nowości resortu Goeringa.

Diewjatajew znalazł tutaj prawdziwych przyjaciół, a wśród nich niemieckiego komunistę, Wernera Rottlieba, z Turyni, więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych od 1940 roku. W listopadzie 1944 roku Rottlieb został starszym grupy, zatrudnionej na lotnisku w Peenemünde. Wiedząc, że jego rosyjski przyjaciel jest lotnikiem, włączył go do swojej grupy.

W pierwszych dniach lutego Diewjatajew przybliżył się o krok do wymarzonego

celu: udaje mu się podpisać, jak niemiecki pilot zapuszcza silniki swego „He-111”. Kilka dni później 8 lutego 1945 roku, podczas pracy opodal lotniska, Diewjatajew wypatrzył pewnego „Heinkla”, który wydal mu się najbardziej odpowiedni do wykonania jego śmiałego zamysłu. Nie ma czasu do stracenia. Tego samego dnia, w przerwie ośmiogodzinnej, jeńcy rozpalały niewielkie ognisko. Grzeje się przy nim również strażnik. Diewjatajew nuci umówioną melodię — sygnał rozpoczęcia akcji. Jeden z towarzyszy ma w kieszeni ciężki stalowy sworzeń, przywiązany do mocnego sznura. Wszystko odbywa się planowo i niewiarygodnie szybko. Sworzeń ze świstem spada na głowę strażnika. Jeniec Iwan Kriwonogow przebiera się w jego uniform, po czym wszyscy, jak gdyby nigdy nie, maszerują przez lotnisko: z przodu rosyjscy jeńcy, za nimi „niemiecki” strażnik z karabinem.

Podchodzą do brzołatego „Heinkla”. Diewjatajew od razu chce wejść do kabiny, ale drzwi są zamknięte na klucz. Kawalkiem żelaza rozbija pancerną szybę i otwiera zamek od wewnątrz. Napięcie nie do opisania. W kabine odzyskuje zimną krew i spokój. Na lewo od siedzenia pilota powinny wisieć na koleczku dwa niezwykle ważne drobiazgi: kluczyki od uruchomienia dwóch silników maszyny. Są na miejscu...

5.

Do kabiny weszło ich trzech. Z zapartym tchem patrzą na prawie śmigło. Drgnęło. Dwa, trzy kłębki i silnik zaczyna pracować. „Heinkel-111” toczy się posłusznie na pole startowe. Diewjatajew wie, jak poderwać maszynę w powietrze, ale nie orientuje się w systemie startu, toteż kokuje — na pełnym gazie. Bombowiec toczy się coraz szybciej i szybciej. Przy wysokości 150 kilometrów na godzinę samolot można już poderwać do lotu, ale strzałka szybkościomierza podnosi się bardzo wolno: 90... 100... 105. Diewjatajew widzi, że nie zdąży poderwać maszyny w powietrze. Kończy się pole startowe, za nim mieni się srebryście tafla morza. Puszczają pedał gazu, hamuje i ostro zavraca. Gwałtowny manewr, aż zatrzeszczało w spojleniach! Mogło pęknąć podwozie. Na szczęście bombowiec dalej „stoi na nogach”. Może lecieć prosto na wschód? Ale nie. Postanawia inaczej. Samolot

wykonuje obrót i znowu jest w pozycji startowej. Tym razem start musi się udać, to jedyna alternatywa. Szybkościomierz wskazuje już 160 kilometrów na godzinę, a dopiero połowa lotniska. Doskonale! Diewjatajew próbuje wziąć ster na siebie i oblewa go zimny pot: czuje, że nie da rady, nie starcza mu sił. „Pomóż!” — krzyczy do Iwana Kriwonogowa. Ten napiera na drążek całym ciężarem swego potężnego ciała i wreszcie... W ostatniej sekundzie! „Heinkel-111” podskakuje niezadarnie raz, drugi i... odrywa się od ziemi. Z wolna nabiera wysokości. Ale do ocalenia jeszcze bardzo daleka droga...

6.

Samolot leci nad morzem na wysokości 150 metrów. W kabine cisnie się trzech uciekinierów, w części ogonowej samolotu jest ich jeszcze siedmiu. Michał Diewjatajew trzyma kurs dokładnie na północ, zmierzając do wybrzeży neutralnej Szwecji. Okazuje się, że w samolocie nie ma map lotniczych. Od wyspy Usedom do brzegów Szwecji jest około 170—180 kilometrów, to jest mniej więcej 45 minut lotu. Większej wysokości wycisnąć nie może, ponieważ nie umie wciągnąć podwozia. 45 minut — to bardzo dużo, poświadczyć już na pewno ich szukają. Ukryć się w obłokach, ale niebo jest czyste. Do kabiny przeciska się jeden z tych z ogona i mówi, że za samolotem ciągną się dwie czarne smugi dymu. Diewjatajewa wcale to nie dziwi: system silników pracuje nadal w położeniu „start”. Ale nie wie, jak to zmienić. Porusza jakąś dźwignię i samolot wali się w dół, tracąc połowę wysokości. Przyczytyki wskazują, że paliwa starczy mniej więcej na cztery godziny lotu. Nagle myśli: a gdyby tak polecieć nie na północ, lecz na wschód, prosto do swoich? Wprawdzie nie wie, gdzie dziś, 8 lutego 1945 roku, przebiega linia frontu, ale to, że Armia Czerwona przekroczyła już zachodnią granicę Polski i toczy boje na terytorium hitlerowskiego Reichu jeńcy wiedzą od Kriwonogowa, który podsłuchiwał rozmowy niemieckich pilotów. Dzieli się tą myślą z Kriwonogowem i Fiodorem Adamowem. Zgadza się. Bierze kurs na wschód. Po półgodzinnym locie samolot nurkuje wreszcie w chmury. Ale za chwilę znowu to cholernie czyste niebo.

* * *

Dziś, Bohater Związku Radzieckiego, Michał Pietrowicz Diewjatajew mieszka w Kazaniu. Jest kapitanem wodolota, kursującego po Woldze.

Oprac. J. CZECH

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Natchnieniem — przyroda

„Jeśli będzie woda a w niej nie ujrzą ani jednej rybki — nie zawierzę wodzie. Jeśli będzie w powietrzu tlen, a nie zobaczę ani jednej jaskółki — nie zaufam powietrzu. A las bez zwierząt, z ludźmi jedynie — to nie las” — pisał Michał Priszwin.

Powieściopisarz, filozof, a nade wszystko miłośnik natury, dzikiej przyrody, którą kochał i rozumiał, Michał Michajłowicz Priszwin był jednym z tych dla których przyroda stała się wiecznym źródłem twórczego natchnienia.

Konstanty Paustowski pisał w przedświadaniu do pełnego wydania dzieł Priszwina:

„Jeśli przyroda mogła poczuć wdzięczność dla człowieka za to, że przeniknął tajemnice życia i opiewał jej piękno, to przede wszystkim okazałaby tę wdzięczność pisarzowi Michajłowicz Priszwinowi”.

Urodzony w roku 1873 w rodzinie kupiecko-szlacheckiej w miejscowości Chruszczewo w gubernii orłowskiej Michał Mi-

chajłowicz Priszwin uczy się początkowo w gimnazjum w Jelicu, następnie w szkole realnej w Tiumeniu (Siberia Zachodnia). Aresztowany za czynny udział w kółku marksistowskim, po dwuletnim pobycie w więzieniu, Priszwin zostaje wydalony z granic Rosji. Wyjeżdża do Lipska, gdzie przez dwa lata studiuje agronomię. Wraca następnie do kraju i pracuje w różnych majątkach ziemskich jako agronom. Ale nadechodzą dni, kiedy Michał Priszwin rzuca wszystko i z plecakiem rusza na dalekie szlaki, na spotkanie z przyrodą. Wędruje przez obszary dalekiej Północy, jest na Krymie, zwiedza Kazachstan. Kiedyś, już później, zbuduje sobie domek na ciężarówce by móc mieszkać w lesie i obserwować z bliska przyrodę. Priszwin staje się nie tylko miłośnikiem natury, ale filozofem i pisarzem i to pisarzem, który kocha i kulturuje piękno ojczystego języka. Debiutuje dziennikarsko w 1905 roku. W roku następnym ukazuje się pierwsze opowiadanie

Priszwina pt. „Saszką”. W roku 1907 wydaje pierwszą powieść pt. „W krainie niepozłonych ptaków”. Jest to owoc wędrowek po leśnych obszarach. Książka, która cechuje niezwykłe znanstwo przyrody, prócz waleńców literackich posiada znaczenie naukowe. Toteż jej autor zostaje przyjęty w charakterze członka rzeczywistego do Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego.

Priszwin, który w początkowym okresie swego pisarstwa ubolewał nad szkodliwymi skutkami cywilizacji, rozdźwiękiem między przyrodą a osiągnięciami technicznymi, w okresie swej dojrzałości pisarskiej głosi hasło harmonijnego zespolenia przyrody i cywilizacji. Uważa, że świadome działanie człowieka da się i powinno pogodzić z życiem natury. Takie zjednoczenie człowieka z przyrodą dokonuje się poprzez miłość i pracę. „Czemu ja piszę wciąż o zwierzętach, o kwiatkach, o przyrodzie?” — pytał w swym dzienniku z codziennych obserwacji natury. „Niekiedy mówią, że ograniczamy możliwości swego talentu nie zajmując się człowiekiem”. I odpowiadał: „Oto moje odkrycie: Kiedy zwykła, ludzka, tak dobrze mi znana dobroć odkrywam u zwierząt, wszyscy ufają, wszyscy chwala, dziękują, cieszą się. I dzięki temu znalazłem umiło-

wane zajęcie: szukać i odkrywać w przyrodzie przepiękne strony duszy ludzkiej”.

Zmarł w 1954 roku w wieku lat 81 pozostawiając po sobie liczne powieści jak „Zem Szeń”, „Korzeń życia”, „Drogię zwierzęt”, zapiski, miniatury, dzienniki jak „Kalendarz przyrody” czy „Zreniecie ziemi”, „Kropki z drzew leśnych”, utwory dla dzieci oraz największą rozmiarami książkę, rodzaj autobiografii, dwutomową powieść pt. „Lańcuch Kościeja”.

„Trudno być jedynie obserwatorem w przyrodzie. Trzeba ją odczuć w samym sobie” — to zdanie, które mogłoby być wyznaniem Priszwina należy do kogo innego. Wypowiedział je jeden z młodych artystów radeckich, tych dla których przyroda, zwłaszcza dzika i surowa, jest natchnieniem w ich artystycznej twórczości. Moskiewski grafik i rzeźbiarz Aleksandr Bielaszow od kilku, nastu już lat wyjeżdża w odległe strony Związku Radzieckiego by we wschodniej czy południowej Syberii zetknąć się z fauną i florą rozległych obszarów i tam właśnie czerpał natchnienie do swych dzieł graficznych, rzeźbiarskich, do całych cyklów rysunków, prac dekoracyjnych. Odwiedza Tuwinki ASRR i Półwysep Czukocki. Przebywał w osiedlach hodowców reniferów i wśród

myśliwych polujących na morisy, rysował lot dzikich kaczek i ptactwo na dalekich wyspach. Chętnie przebywa na obszarach poza kręgiem polarnym. Czego tam szuka w surowej naturze? „Za kręgiem polarnym zaskoczyła mnie bezgraniczna różnorodność form strukturalnych” — mówi Bielaszow. „I w tym kraju lodu istnieje aktywne życie zwierzęcego świata, pojawiają się rzadkie, drogocenne kwiaty”. W pracowni Bielaszowa w Moskwie można zobaczyć liczne skorupy oraz kamienie obtoczone przez morskie fale. Ale Bielaszow nie jest tylko zwykłym ich kolekcjonerem. Przeprowadza studia nad tymi twórcami przyrody by lepiej zrozumieć pracę natury. „Rodzina pasterzy reniferów”, „Tajga i człowiek”, „Pasterz reniferów”, „Morsy”, „Wypoczywający myśliwy” — oto niektóre spośród wielu tytułów rzeźb Bielaszowa. Czasem rysuje tylko pędy traw, kiedy indziej rzeźbi zwierzątko — kunę opartą na gałęziach drzewa, w rzeźbie z miedzi oddał z niezwykłym realizmem i ogromną ekspresją postać wypoczywającego myśliwego z sytytką jego psa. Z jakąż czujnością patrzy zwierzę pilnujące wypoczywającego człowieka. Do ulubionych zwierząt w twórczości Bielaszowa należą sowa i jelen. Dwa przedstawiciele fauny,

którzy zrobili karierę w sztuce i literaturze. Sowa od starożytności zwracała uwagę artystów. Ten ptak Ateny jest do dziś symbolem mądrości. Dzwoni, wielkie, tajemnicze oczy, które tak świetnie widzą w mroku, ciągle nas niepokoją. I oto sowa u Bielaszowa wystąpi wielokrotnie w różnych motywach i wariantach. A jelen czy też inny ssak z rodziny jeleniowatych jak sarna, daniel, renifer czy los? Każdy z nich jest uosobnieniem grajki i faneicznej lekkości ruchu. W liuż to poematach, począwszy od „Psalmdów Dawida”, znalazło się stworzenie. Zna je dobrze sztuka plastyczna. U Bielaszowa przedstawiciele jeleniowatych pojawiają się w rysunkach, w rzeźbach z metalu i w ceramice, w płaskorzeźbie.

Tak jak Priszwin piórem zbliżał nas do przyrody i przyrodę do nas, tak Bielaszow czyni to poprzez swe dzieła plastyczne. Jakże to ważne, zwłaszcza dziś, kiedy zdajemy już sobie sprawę z tego, że jeśli zginie przyroda zginie i my. I jakże mądre, jakże aktualne, jakąż przestróg zawiera stwierdzenie Priszwina: „Jeśli będzie woda a w niej nie ujrzą ani jednej rybki — nie zawierzę wodzie. Jeśli będzie w powietrzu tlen, a nie zobaczę ani jednej jaskółki — nie zaufam powietrzu...”

PRZECZŁOŚĆ

terazniejszość

ZAPIS PIERWSZEJ DEKADY

Spór o sens zwracania się w przeszłość, kiedy horyzonty naszej terażniejszości coraz bardziej orientują się ku przyszłości, wkroczył w swą nową fazę. Znacznie mniej liczą się efektywne uogólnienia, które — zresztą tylko pozornie — miałyby za jednym zamachem, raz na zawsze rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości. Coraz bardziej ważą rzeczowe argumenty. Dostarczają ich socjologowie, podejmujący badanie społecznej świadomości historycznej, zabierają głos historycy najróżniejszych specjalności, pisarze i publicyści. Nie zabrakło glosu historyka dziejów naj-

nowszych, który pokusił się o zsyntetyzowanie historycznej wiedzy o dziejach pierwszego powojennego dziesięciolecia.

Wielu z nas ma tamte lata w żywej pamięci, po co więc nam ich historia? A jednak zapoznanie się z tym, co współczesny historyk miał dziś o nich do powiedzenia, ujawnia ogrom niedostatku tego, co wiemy o niedawnej przeszłości. Nie polega to jedynie na zawodności ludzkiej pamięci, bardzo często chodzi bowiem o to, co się w niej w ogóle nie znalazło, bowiem nigdy nie dotarło do naszej świadomości, bądź też dotarło w

bardzo wypaczonej postaci. Godzimy się ze zdaniem uczonego, że milczenie o dziejach świata po II Wojnie Światowej oznaczałoby skazywanie społeczeństwa „na ignorancję, na swoistą zbiorową amnezję. A zanik społecznej pamięci należy uznać za zjawisko groźne, patologiczne!” Wnosimy tu jednak małą poprawkę: chodzi nie tylko o samą pamięć.

W pełni podzielałem przekonanie Marii Turlejskiej, że nie wolno nam zaniechać pisania o historii współczesnej, że powierzenie jej tylko ludzkiej pamięci, która jakże często bywa po prostu niepamięcią, miałoby arcyшкоdliwe społecznie skutki, bowiem przez ów czas milczenia historii „jedno pokolenie mogłoby zostać pozabawione informacji o młodości i czynach swych ojców. Miejsce historii zastąpiłaby sterowana mitologia lub ustna tradycja — obie zniekształcające rzeczywistość, zależnie od bieżących interesów ich autorów — określonych grup społecznych”. Jednocześnie śliniej, niż to czyni M. Turlejska, zaakcentowałbym tu niebezpieczeństwa, płynące z pozostawiania wciąż przy tym samym kręgu informacji, który już został ujawniony i nie rozszerzania go przez nowe dane, jakże często

istotnie korygujące to, co wiadano dotychczas. Jeżeli bym też miał określić, na czym przede wszystkim polega wartość ostatniej książki M. Turlejskiej „Zapis pierwszej dekady”, powiedziałbym chyba, że właśnie na... konfrontacji tego, co o opisywanych przez nią wydarzeniach wiadome było niegdyś, z tym, co można o nich wiedzieć dziś.

Wiadomo, jak ważnym źródłem informacji dla współczesnego człowieka jest prasa, zrozumiałe więc, że historyk dziejów najnowszych uważa ją za cenne, wielostronne, ale — co trzeba podkreślić — również i jednostronne źródło historyczne. M. Turlejska jest zbyt wytrawnym badaczem, aby dać się zwieść niektórym naszym „prasologom”, mniemającym iż „prasa jest źródłem na wszystko”, podkreśla więc jej zalety, obok niedostatków. Najsluszniej zauważa, że „ona umożliwia rekonstrukcję czasów niedawno minionych, pomaga nam uchwylić ich atmosferę, hierarchię ważności spraw ówczesnych, język, jakim się posługiwano. W prasie odziedziczyła się to, o czym opinia publiczna była informowana, a o czym jeszcze nie wiadano, znajdując w niej odbicie aktualne nastawienia i oficjalna linia kół rządzących. Prasa jest

rejestratorem wydarzeń, które doprowadzane są do wiadomości publicznej, pomaga nam ustalać również marginesy niewiedzy społecznej, oświetla w komentarzach obraz świata, jaki jawi się lub ma się jawić czytelnikom”. Ale jednocześnie nie sposób jest zestawiać... z wyćinków prasowych jakakolwiek historię nawet bardzo niedawno ubiegłej przeszłości.

„Zadaniem historyka jest odtworzenie rzeczywistości wczorajszej w wymiarach i skali ówczesnej, która różni się — różni się musi — od dzisiejszej. Ale posiada z nią wspólne kryteria. Dzięki temu możemy rozumieć ją, a przez to rozumieć lepiej nas samych i czasy, w których przyszło nam żyć”. Warto było przytoczyć te zdania, aby przypomnieć o sprawach wprawdzie znanych i zrozumiałych, ale zbyt często zapomnianych przez wcale licznych autorów, piszących o dziejach najnowszych.

Okoliczność, że przedstawiony przez historyka obraz niedawnej przeszłości nie w pełni pokrywa się ze świadectwami pamięci oraz czynionymi na gorąco zapisami zdarzeń sprawia, że zaprezentowane przezeń dzieło musi mieć charakter kontrowersyjny. M. Turlejska stara się nadzwyczaj udanie o

maksymalną obiektywizację swej narracji, ale wystarczy sobie przypomnieć, czym były te lata w dziejach Polski, aby zdać sobie sprawę z tego, że dyskusji uniknąć nie sposób, że z różnych stron będzie się zgłaszać takie, czy inne pretensje. Często będą one pretensjami nie tyle do historyka, ile do... opisywanych przez niego dziejów. Taki jest już los badacza niedawnej przeszłości, że musi on być człowiekiem odważnym, z góry przygotowanym na krytykę. I tu właśnie jest jeszcze jedną trudnością uprawiania tej, jakże ważnej dziedziny historii. Jeżeli jednak badacz nie myśli o ucieczce w rejon bardziej bezpieczny, ale także i bardziej obojętne, wynika to z jego głębokiego przekonania, że człowiek współczesny, a tym bardziej uczone, nie może „poprzestać wyłącznie na wiadomości aktualnej, bieżącej, codziennej. „Dzisiaj”, jako jedyny punkt odniesienia może wpłynąć na deformację rzeczywistego obrazu świata i perspektywy jego rozwoju. Dla studiujących nauki polityczne niezbędna jest wiedza o przeszłości — bez niej nie można zrozumieć ani terażniejszości, ani — przez dróg wiodących w „przyszłość”.

LEKTOR

Zdarzenia i Zwierzenia

ROSYJSKIE LEKTURY

Moje rosyjskie lektury biegle równoległe z lekturami naszej literatury. Taka sama była krzywa spadków i wzniesień, bo przecież mieścili się one w tym samym czasie. A czas był taki, że nie rozpoczynałem tych lektur od „Drogi przez mękę”, od Dostojewskiego, od Jesienina... Moje pierwsze wtajemniczenia w rosyjską literaturę, to było „Szczęście” Pawlenki, „Daleko do Moskwy” Ażajewa, nawet Gorkiego zaczynałem

czytać od jego „Matki”, a nie od tych naprawd wielkich dzieł.

W tym samym czasie wtajemniczenie w polską literaturę odbywało się przy pomocy powieści Wilczka, Hamery i Pytlakowskiego. Początki tej życiowej przygody z książką rosyjską nie były więc ośniewające — podobnie zresztą jak przygoda z książką polską. Dla ścisłości powiem, że pod pojęciem — literatura rosyjska — rozumiem literaturę języka rosyjskiego jako całość, zarówno radziecką jak i przedrewolucyjną. Czyż

zresztą można dokonywać takich podziałów. Sami Rosjanie tego nie czynią, bo jest to zabieg sztuczny. Gdzież bowiem zakwalifikować Błoka i Jesienina, działających na przełomie, gdzie umieścić laureata Nagrody Nobla — Bunina, który pisarzem radzieckim nie był, choć zmarł w 1953 roku. Ale był mistrzem noweli lirycznej i w literaturze języka rosyjskiego błyszczy najczystszy blaskiem. Tak jak Czechow, najczęściej utożsamiany tylko z „Wiśniowym sadem”, „Mewa” — a przecież niepowtarzalny i wzruszający w dziesiątkach nowel, które zebrać można w kilkanaście tomów. Ów czechowski ton liryzmu i ironii, który odbił się echem w całej europejskiej literaturze, dał początki nowoczesnego stylu literatury dwudziestego wieku.

Pozostawmy więc przy określeniu „Literatura rosyjska”, bo wielkość i głęboki oddech tej literatury są te same po obu stronach historycznej cezur. I na tę wielkość składa się właśnie owa wielość i różnorodność. Pierwszą prawdziwie piękną książką moich wtajemniczeń w literaturę rosyjską był, oczywiście, „Cichy

Don” Szolochowa. Meże jedyna — obok „Żelaznego potoku” Serafinowicza — wielka książka akceptowana przez tamte lata uproszczeń literackich.

A potem, z upływem lat, następował drugi etap przyjaźni z rosyjską książką. Wtedy to objawił mi się wzruszający, liryczny Jesienin w przekładach, które do dziś uważam za najlepsze — Jana Huszczy i Tadeusza Mongirda. I wtedy przyszedł do mnie całkiem inny Majakowski — jego wiersze z „Fletu kregostupa”, jego niepokojące jakże inne od pryncypialnego rytmu lat trzydziestych, jego sztuki odkrywające zupełnie wówczas nieznaną teatr: „Pluskwa”, „Laźnia” — wystawiane w Łodzi przez Kazimierza Dejmka.

Obraz literatury rosyjskiej zaczął się poszerzać, nabierać głębi, nowych półcieni i barw. Jak Majakowski przestał być monotematycznym autorem znakomitych agitek i wierszowanych felietonów, tak i cała rosyjska literatura, odkrywana stopniowo, okazywała się wielką, złożoną, wielowarstwową, wstrząsającą... Jakże inna i pełniejsza od jednowymiarowych powieści Pawlenki i

nieskomplikowanych uczuć poezji Szczepaczowa.

Objawili się wówczas — „Odwilż” Erenburga i „Nie samym chlebem...” Dudincowa. Ale to była forpocząta. Z przeobstnych zasobów rosyjskiej literatury zaczęto naraz wydobywać książki naprawdę godne wielkiej tradycji pisarskiej Rosji. Rozwierzony, poetycko-sarkastyczny Artiom Wiesołyj za swoją powieścią „Rosja we krwi skąpiana”. Powieści i opowiadania Ilfa i Pietrowa, „Niebieska księga” Zoszczenki...

I, oczywiście, Babel. Zapomniany przez lata piewca i surowy obserwator przełomu rewolucyjnego. Kronikarz odeskiej Moldawanki i szlaków Armii Konnej — genialny pisarz.

Literatura rosyjska rozłożyła przed nami swój przebogaty dorobek. „Jeszcze pożyczysz” Okudźawy i „Gwiezdny bilet” Aksionowa, wiersze Achmaduliny i Wozniesińskiego, gdzieś „po drodze”, odkrycie Tien-driakowa z jego wnikliwą, psychologiczną prozą, odkrycie tragicznej Achmatowej...

I wreszcie ów zupełnie

nowy ton rosyjskiego pisarstwa. Owe treści, następująca egzotyka, które wlewają szeroką strugą z literatury innych narodów radzieckiej. Tworzy się stop przedziwny, mieniący się kolorami. „Mój Dagestan” Gamzatowa — książka, która jest najpiękniejszą przygodą. Czy choćby te wiersze, które publikowały „Ogłosy” dwa tygodnie temu obok nazwisk Sieriebriakowa, Tanka czy Pietnikowa — właśnie te egzotyczne, a przecież rosyjskie nazwiska — Tofik Bajram, Olzas Sulejmenow, Zaki Nuri... To wszystko składa się na literaturę rosyjską: różnorodną, wielowarstwową.

A zaczęła się ta moja przygoda z książką rosyjską nieefektywnie, od wymuskania literatury. Lecz minęły lata i całe bogactwo tego piśmiennictwa mamy dziś przed sobą i wiele jeszcze odkryć pisarskich nas czeka, wiele fascynacji i wzruszeń. Przygoda z książką rosyjską trwa — jest nieustającym odkrywaniem — jak spacer w kremłowskim skarbcu.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

WAGA NAIWNYCH PYTAŃ

Pewien wielki kanadyjski dziennik zamieścił raz dla eksperymentu przez trzy dni z rzędu ten sam polityczny artykuł wstępny. Reakcje ze strony czytelników nie było żadnej, pewnie w ogóle nie zauważyli. Tenże dziennik powtórzył dwukrotnie ten sam odcinek głupawej historyjki komiksowej i otrzymał natychmiast lawinę

protestujących listów. Jeszcze raz okazało się, że zainteresowania szerokiej mas różnią się znacznie od tego, co sobie wyobrażają poważni redaktorzy i działacze, a także — że redagowanie pisma to wielka sztuka. Okazało się też, że mimo — jak twierdzą specjaliści — iż przeważająca większość ludzi stanowią wzrokowcy, to znaczny

tacy, których uwagę umykają rzeczy zasygnalizowane w pamięci ujrane „na własne oczy” — otóż że mimo to można takim wzrokowcom pokazywać sto razy ten sam obrazek, a on i tak go nie zobaczy, dopóki jakaś wewnętrzna, psychiczna klapka nie spadnie mu z oczu.

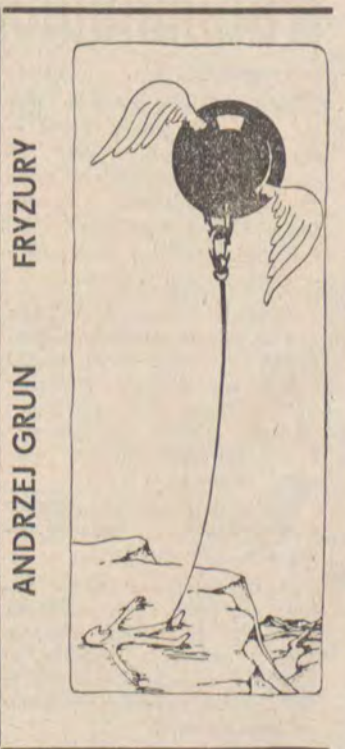
Pytaliśmy kiedyś dawno pracownicę w pewnej hali fabrycznej, co stół napisane na wielkich transparentowych hasłach, wiszących w tej hali od wielu tygodni: nie miały pojęcia! Po prostu nie czytały tych hasel — nie weszły one do ich świadomości, ta świadomość na to nie wyraziła zgody, nie uznawała za potrzebne. Po serii takich pytań i odpowiedzi inaczej wyglądała dyskusja o „propagandzie wizualnej”, która wtedy była najpoważniejszym problemem dnia, zajmującym czas i uwagę tysięcy a tysięcy działaczy różnych szczebli.

Ktoś ze zwiędzających ową halę zauważył natychmiast błąd ortograficzny w jednym z hasel. Miejscowi ludzie nie mogli się nadziwić, że taki błąd uszedł ich uwadze. Sam z przykrością stwierdzam, że niejednokrotnie zauważam błąd jednego słowa wcześniej, zanim obejmę świadomością całe zdanie, ale to już jest skrzywienie zawodowe. Prawdą jest natomiast, że pierwsze spojrzenie bywa często najaktywniejsze,

najwnikliwsze, ba — czasem wręcz odkrywcze. Czasem dociera do spraw, na które nie reagują już oczy fachowców, specjalistów, obcujących z danym przedmiotem całymi latami. Tę rolę „pierwszego spojrzenia” pełniła do niedawna poezja, odkrywająca nagle niezwykłe aspekty rzeczywistości tam, gdzie wszyscy widzieli samą oczywistość. Ale poezja zrezygnowała z odniesień do rzeczywistości i stała się w jakże wielkim procencie mowie, niem o mówieniu, albo w ogóle nie mówieniem, tylko żonglerką elementami mowy. Za to walor „pierwszego spojrzenia” dostrzeżony został w krajach zachodnich, tam, gdzie nikt się tego nie spodziewał właśnie w kręgu specjalistów najwyższej klasy, ludzi nawykłych do myślenia ścisłego, matematycznego. Ponieważ w tym kręgu zwykło się każdą rzecz rozpatrywać natychmiast od strony jej użyteczności, znaleziono od razu kapitalny sposób wykorzystania zjawiska „pierwszego spojrzenia”: na bardzo specjalistyczne, zasadnicze, koncepcyjne narady zaprasza się kogoś zupełnie przypadkowego, czasem po prostu pierwszego z brzęgu przechodnią z ulicy. Żeby nie miał pojęcia o dyskutowanej sprawie. Żeby zadawał pytania nie z tej ziemi, z głupia frant, pytania najwęższego prostaczka. Wolterowski prostaczek jak

wiadomo obnażył swoimi głupimi pytaniami całe zakłamanie ówczesnej opinii europejskiej. Montaigne w „Próbach” przytacza swą rozmowę w Rouen z prymitywnymi Indianami, przywiezionymi w r. 1563 prosto z Południowej Ameryki, którym „bardzo się dziwnym wydaje, iż tylu ludzi brodatych, silnych i uzbrojonych, którzy byli wokół króla, poddali się w posłuszeństwie dziecku i że też nie wybrano którego z nich, by rozkazywał”. Indianie zauważyli też, że „są między nami ludzie pełni i najedzeni wszelkiego rodzaju wygodami, a ich połowy są żebrakami u ich drzwi, chudzi z głodu i ubóstwa, i dziwnym się to wydaje, że mogą cierpieć taką niesprawiedliwość a nie wezmą drugich za gardło”.

Naiwne pytania wprawiają nieraz w prawdziwy kłopot, ale też zmuszają do przemyślenia wielu spraw, niedostrzeganych, bo nazbyt oczywistych. Metoda zachodnich racjonalizatorów jest warta upowszechnienia. Może by wnieśli na nasze „kurso-konferencje” nareszcie powiew rzetelnej, czystej, świeżej myśli, zamiast profesjonalnego żargonu, który często nie zna czy. Warto w każdym razie spróbować.



ĆWIEK